Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 49 (1837) ● 5–11 grudnia 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Ludzie zbędni
str. 8

Luksus darmowej zupy
str. 9

PIESKIE ŻYCIE

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 8f853d41ab

Drodzy Czytelnicy!

Tym razem to my jesteśmy drodzy. No, drożsi. Trzymaliśmy się, ile mogliśmy. Nadal będziemy najtańszym tygodnikiem opinii w Polsce – i nadal będziemy jedyną gazetą żyjącą tylko ze sprzedaży, bez reklam, które Was irytują, a nam grożą utratą niezależności. Dlatego prosimy: nadal nas kupujcie. Obiecujemy, że nadal będzie warto.

Od grudnia 2025 r. tygodnik „NIE" kosztuje 9,80 zł.

WOJNA DOMOWA

Donald Tusk pojechał do Berlina i poinformował Niemców, że „uważamy w Polsce, że Polska nie otrzymała zadośćuczynienia za zbrodnie z II wojny światowej". Tak dla porządku – niektórzy w Polsce pamiętają, że Pomorze Zachodnie, Śląsk, Warmia i Mazury, Ziemia Lubuska oraz Gdańsk nie zawsze należały do nas, ale to w zasadzie sami postkomuniści. Ponadto Tusk zaszantażował moralnie kanclerza Merza w sprawie zadośćuczynienia dla ofiar wojny, albowiem kiedy rozmawiał o tym z Scholzem, było ich „trochę ponad 60 tysięcy, dzisiaj to jest 50 tysięcy". Toteż – dodał – „pospieszcie się, jeżeli naprawdę chcecie wykonać taki gest". Bo jak Niemcy się nie pospieszą, to on osobiście „będzie rozważał w przyszłym roku, że Polska wypełni tę potrzebę z własnych środków". Tak swoją drogą: dlaczego akurat „w przyszłym roku"? Donald Tusk jest premierem dziewiąty rok, a pierwszy raz został nim 18 lat temu. Wtedy ofiar zasługujących na zadośćuczynienie było dużo więcej niż w lipcu 2024.

I jeszcze swoje spotkanie z niemieckim kanclerzem premier Polski ozłocił opowieścią o dokumentach, które odzyskał w ramach zwrotu zagrabionych dóbr kultury: „Bardzo symboliczny jest na przykład dokument, w którym papież Aleksander IV wzywa zakon krzyżacki do wspólnej obrony przed Tatarami; wspólnej między innymi z Polakami. To brzmi dość współcześnie, muszę powiedzieć". Polak–Krzyżak dwa bratanki. To nowa wykładnia historii.

Za to wicepremier Sikorski zawsze pamięta, gdzie jest wróg. I wroga tego pokonuje na każdym kroku. W środę ogłosił kolejny sukces Polski: „Nie istnieje już Rada NATO–Rosja i nie istnieje już tak zwany akt stanowiący Rady NATO–Rosja, to jest coś, o co kolejne polskie rządy zabiegały, a teraz stało się faktem". Nastąpiło to dzień po tym, jak dwóch wysłanników Donalda Trumpa spędziło na rozmowach z Władimirem Putinem pięć godzin – co naturalnie spotkało się z powszechnym oburzeniem ze strony polskich polityków wykrzykujących jak jeden mąż: „nic o nas bez nas". Z pozoru jest w tym niejaka sprzeczność: determinacja Polski w rozmontowaniu wszystkich kanałów rozmów z Rosją mogłaby być rozważana w kontekście naszych pretensji do brania udziału w rozmowach. Ale tylko z pozoru: wszak z rozmów o końcu wojny między Rosją i Ukrainą kategorycznie i pryncypialnie wykluczamy Rosję. W sferze rozwiązań wiele takie rozmowy zapewne nie przyniosą, ale za to zachowamy czystość moralną. A każdy, kto myśli inaczej, to – jak powszechnie wiadomo – ruska onuca.

W gronie ruskich onuc absolutną gwiazdą został w tym tygodniu Leszek Miller, który poczynił trafne skądinąd zauważenie, że nazywanie ruską onucą każdego, kto rozważa możliwość, że Ukraina nie wygra wojny z Rosją, jest przejawem intelektualnego lenistwa. A na koniec, z właściwym sobie wdziękiem, spointował: „Ja uważam, że lepiej być ruską onucą niż banderowskim pampersem".

W piątek 5 grudnia kończy się epoka. Z życia publicznego odchodzi Krystyna Pawłowicz. W charakterze pożegnalnego prezentu koledzy z TK dali jej zdelegalizować Komunistyczną Partię Polski. Rzeczywisty cel KPP – ogłosiła prof. Pawłowicz – to „rewolucyjne przeobrażenia systemu politycznego Polski zmierzające do budowy komunizmu". System taki – dodała – „ostatecznie musiałby się stać systemem terroru". Tak dla porządku: terror rewolucyjny w systemie komunistycznym nie następuje „ostatecznie", a znacznie wcześniej, jako narzędzie dochodzenia do celu – ale towarzysze z KPP wcale tego nie planują, bo są łagodnymi, a zatem i nieskutecznymi komunistami. A w ogóle to tak naprawdę wcale nie chodzi o KPP, tylko o KKP – czyli Konfederację Korony Polskiej. Tę z kolei chcą delegalizować obecnie rządzący, ale PiS pewnie nie miałoby nic przeciwko temu, żeby Braunowi ukręcić łeb, zważywszy, że w sondażach regularnie przekracza 5 proc., a ostatnio doszedł do 9. Pomysł delegalizacji partii politycznych generalnie niewiele ma wspólnego z demokracją liberalną – ale z tym liberalizmem to już pora przestać przesadzać.

Polacy za dużo się leczą – uznała minister zdrowia i zaproponowała oszczędności w NFZ rzędu 10 mld zł. Głównie metodą przywrócenia limitów na badania, wizyty u specjalistów i operacje (np. zaćmy) oraz – a jakże – cięcia płac pracowników służb zdrowia. Po tym jak ten przebiegły plan wyciekł do mediów, Ministerstwo Zdrowia błyskawicznie ogłosiło, że ono tak napisało, ale wcale tak nie myślało, albowiem „zmiany systemowe są na etapie rozmów i analiz", a „kwestia finansowania jest analizowana na wszystkich poziomach", gdyż „priorytetem jest zagwarantowanie bezpieczeństwa zdrowotnego pacjentów". Bardzo, kurwa, uspokajające.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Listopad 2013 r.

Świętego Klementa

Pudel Azor daje mi się głaskać wszędzie z wyjątkiem głowy. Widocznie przypuszcza, że właśnie od tego jego pan jest obrzydliwie łysy. Wizyta wnuków mniejszych. Psy odmówiły wyjścia z nimi na spacer, gdyż to byłoby poniżej psiej godności.

cd. św. Klementa

Jak PiS nic nie mówi i nie robi, to mu rośnie. Jak PO gada i działa, to jej spada. Co zrobić, żeby działo się na odwrót?

Chrystusa Króla

Unia Europejska tuczy Polskę 105 miliardami euro. Ukrainie proponuje 1 proc. tego i się dziwi, że dostaje kosza. Gdyby odwróciła proporcje, miałaby Ukrainę, a Polska i tak nie wstąpiłaby do moskiewskiej wspólnoty gospodarczej. Gdzie ta Unia ma łeb?

Świętej Katarzyny

Jeżeli PiS wygra wybory i weźmie 300 mld zł z Unii Europejskiej, zbudujemy 318 pomników Lecha Kaczyńskiego i usypiemy mu kopiec. Stworzymy wreszcie Muzeum II Wojny, Muzeum Katynia, Żydów, Solidarności, Muzeum Wraku Smoleńskiego, Kresów, Monte Cassino, Żołnierzy Wyklętych, NSZ, Konspiry, Muzeum Zaborów, Dmowskiego i Piłsudskiego, Muzeum Narodu Polskiego, Emigracji, Husarii, Matki Polki, Wartości Rodzinnych, Różewicza i Wolskiego, Skansen Szlachty, Muzeum Szabli, Kota, Konia, a też przekopiemy Kanał Sueski przez Mierzeję Wiślaną. Ozłocimy kopułę Świątyni Opatrzności Bożej.

cd. św. Katarzyny

Wypróbowałem niezawodny sposób na odtłuszczenie. Poddać się operacji szczęki. Wówczas każdy kęs boli bardziej niż Chrystusa wbijanie weń gwoździ.

Świętej Delfiny

Obejrzałem dwa filmy o porywaniu statków przez somalijskich piratów. Jeden to amerykański „Kapitan Philips". Gra w nim gwiazdor, lotniskowiec, komandosi, snajperzy, bałwany, somalijscy naturszczycy, samoloty, admirał, krew – co zechcieć. Sala kinowa zupełnie pusta. Widocznie brakuje widzom rekinów, wiedźmy, gwiezdnej wojny, czarodziejskiego miecza i dziewicy nie do zgwałcenia.

Drugi to duński film „Porwanie" niekosztujący nawet 10 proc. tego, co hit amerykański. Akcja polega na tym, że dwóch panów, armator i porywacz, negocjują przez telefon, stosując blefy i podstępy. Emocje jak przy pokerze. Duńczycy mają opinię nudziarzy, ale wolę jak Duńczyk nudzi, niż Hollywood zabawia.

Świętego Seweryna

Uchodzę za ideowego spadkobiercę dr. Josepha Goebbelsa, ale niektóre poglądy nieco nas różnią. Np. Józek pisze w swoich „Dziennikach" z roku 1935 o Józefie:

„Wczoraj wieczorem Piłsudski zmarł. Źle, źle. Polska traci swojego najlepszego człowieka, a my najważniejszą figurę w wielkiej grze.

Wszystkie wydarzenia przesłonięte przez śmierć wielkiego marszałka. Odszedł prawdziwy człowiek. Jeden z tych, którzy tworzą historię. (…)

Poniedziałek: Z Führerem omówienie sytuacji po śmierci Piłsudskiego. (…) Po południu wgłębiam się w życie wielkiego żołnierza, wielkiego bohatera. (…) Najwybitniejszy syn Polski. (…) Drugi Cromwell.

»Wspomnienia Piłsudskiego«, cóż to za życie bojownika! Jakiż to czas, w którym żyją tacy ludzie. Jest się po prostu dumnym z tego, że wolno być świadkiem życia tak wielkich postaci".

Gdy Niemcy zajęli Kraków, przy trumnie dyktatora na Wawelu wystawili wartę honorową. W miejscu, gdzie stało pół warty, leży teraz Lech Kaczyński ze swoją lepszą połową.

Świętego Jacques'a

Rzecznik PiS Adam Hofman wart jest nekrologu. Odszedł najładniejszy chłopak z całej wsi. Wśród zaciętych mord pisowców zawsze uśmiechnięty luzak. Przymilny czaruś elokwentny jak przekupka. Chętnie słuchany, gdyż mówił gładko i zagłuszał rozmówców tym nic, które miał do powiedzenia. Dbał, żeby widziano go blisko wodza i wychylał się do kamer zza pleców kroczącego Macierewicza.

Ulubieniec fryzjerek i pracownic megasamów. Krynica słów i uśmiechów. Odeszło wabiące ciacho PiS – to znaczy człowiek, który posiada ze trzy książki, je nożem i widelcem, a co tydzień zmienia skarpetki. Patrioci wywodzą się ze szlachetków typu jeden klejnot, jedna krowa, dwie kury.

Świętego Saturnina

Pudel Azor, odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, jest, chwała Bogu, zdrowy i nawet weselszy niż całe nasze życie. Kiedy towarzysz Stalin zaczął Wielki Terror, ogłosił: nasze życie stało się lepsze, weselsze. I tu jest pies pogrzebany.

Świętego Andrzeja

Potencjalne problemy z urzędem skarbowym. Prowadzę małą firmę – ok. 10 mln zł obrotu rocznie. Wydaje ona „NIE". Częścią współczesnej prasy jest internet. Emituję w nim m.in. krótkie filmy. Do filmu potrzebny był karabin, cena 150 zł. Powinien iść w koszty. Kupiony karabin należy do firmy. Po wykorzystaniu objąć go musi inwentaryzacja. Trochę głupio mieć w inwentarzu wydawnictwa karabin – mogą się czepiać. Poza tym gdzie on ma stać i po co? Należałoby komisyjnie zniszczyć karabin i sporządzić protokół. Jak się niszczy karabin? I czy ja nie mam innych zmartwień? Trójglicerydy podwyższone, sondażowe szanse PiS też, Ukraina oddala się od Europy, kot mnie ugryzł w rękę. Na przyjęciu pytają, jak się czuję, jakbym już teraz żył bezprawnie.

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Papież Leon XIV** wszedł do Błękitnego Meczetu w białych skarpetkach. W gości to pewnie założył Adidasa.
- **Portal fronda.pl** przypomina, że cuda zdarzają się nadal. Fajnie, cud się przyda ojcu Tadeuszowi w prokuraturze.
- **Kibice** zapraszają Ziobrę za więzienne bramy, aby wyrównać rachunki. Kibice, grudzień to piękny czas na wycieczkę do Budapesztu.
- **Karol Nawrocki** powiedział, że możemy być silni tym, co dał nam Bóg. Ciekawe, czy Nawrocki uzna, że Bóg mu dał konstytucję.
- **Przemysław Czarnek** stwierdził, że Polska nie jest skazana na obecność w Unii Europejskiej. Oczywiście, możemy wejść w unię z Kongiem.
- **Poznańscy naukowcy** pracują nad polską odmianą imbiru. Idealnie podejdzie do polskiego sushi – gołąbków.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Europejczyk Tusk

Miałem cichą nadzieję, że Tusk, otarłszy się o europejskie instytucje, zacznie myśleć jak Europejczyk, ale nie! Wyrok TSUE zobowiązujący państwa członkowskie do uznawania małżeństw jednopłciowych zawartych za granicą wywołał u premiera niejaki wkurw i sprawił, że ze stanowczością godną Dudy albo Nawrockiego oświadczył, że nikt nam niczego nie będzie narzucał. (…) Jednak, wzorem pisowców, nie pomyślał o konsekwencjach (…). Zaczną się pozwy, odszkodowania, Polska prawdopodobnie i tak zostanie w końcu zmuszona do posłuszeństwa (…). Poza tym pomyśl pan, panie Tusk, co będzie (…), jeśli wybranką Polki będzie Francuzka. Albo jeśli Björn zapragnie spędzić życie z Władkiem, a obie te pary wybiorą Polskę jako swoje miejsce na ziemi. W jednym kraju będą małżeństwem, a w drugim już nie? W dodatku honorując zawarte za granicą małżeństwa hetero popełnicie straszliwy grzech dyskryminacji. Jesteś pan premierem rządu, chwaliłeś się pan, jak to ułatwiacie życie rodakom (…). No to bądźcie konsekwentni i nie chowajcie głowy w piasek, nie lękajcie przed koloratką i pastorałem, nie oni was wybrali. (…) Dodam, że jesteś pan pioruńskim hipokrytą, bo wyroki tegoż TSUE, które rządowi były na rękę, aprobował pan bez zastrzeżeń. A jak chcesz pan zmusić ludzi do życia na pańską (i panu podobnych) modłę, to życzę sukcesów: szczanie pod wiatr nigdy nie kończy się dobrze.

Waldemar Miksa, Gdańsk

Katolickie barbarzyństwo

Bardzo podziwiam Adama Michnika, jego intelekt, wiedzę i wyczucie historyczne. Był moim idolem za czasów komuny. Co się natomiast z nim stało na stare lata, to jest niewytłumaczalne. (…) Obecnie jest obrońcą fałszywej ideologii, jaką jest katolicyzm. Staje w obronie naszego odwiecznego wroga, jakim jest Watykan. (…) Kilka lat temu Adam Michnik powiedział, że bez katolicyzmu byłoby w Polsce barbarzyństwo. Czyli gdybyśmy to my, ateiści, rządzili Polską, to byłoby barbarzyństwo w naszym kraju. (…) Michnik jest ślepy, nie widząc krajów, gdzie większość społeczeństwa to ateiści, i zapewniam, że nie ma tam takiego barbarzyństwa, jakie jest w katolickiej Polsce. Sztandarowe ateistyczne kraje to cała Skandynawia i moje ulubione Czechy. Drogi Panie Adamie, niech Pan nas, ateistów, przeprosi za swoje „głupie" słowa i będzie po sprawie.

Waldemar Szydłowski, Gdańsk

eprasa.pl 8f853d41ab

Niebezpieczeństwa bezrozumnego patriotyzmu

Nauki z powstania listopadowego



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W nocy z 29 na 30 listopada minęła 195. rocznica wybuchu powstania listopadowego – największego i najbardziej tragicznego z wielkich powstań narodowych.

Minęła prawie niezauważalnie; obchody ograniczyły się do capstrzyku w Belwederze z przemówieniem prezydenta Karola Nawrockiego, utrzymanego w duchu IPN. Notable i naród mają dziś inne rocznice i innych niż podchorążacy idoli do opiewania. Wydarzenia sprzed dwóch wieków odchodzą w niepamięć – może tylko z wyjątkiem Konstytucji 3 maja, która ma swoje święto.

Rocznicę powstania listopadowego warto jednak ochronić od zapomnienia; niesie ona z sobą nauki dla narodu cenne. Pod kilkoma względami łączy ją analogia z wydarzeniami współczesnymi. Dzieje tego powstania, zinterpretowane poprawnie, doskonale spełniają postulat wybitnego historyka z krakowskiej szkoły Józefa Szujskiego, który głosił, że tylko dobra i niezafałszowana historia może być mistrzynią dobrej polityki. Rozpatrzmy kilka wniosków, które te dzieje nasuwają.

Amatorzy i mordercy

Wniosek pierwszy. Było to powstanie wojną polsko-rosyjską trochę podobną do tej dzisiejszej, jaka toczy się na Ukrainie. Państwa znacznie mniejszego i słabszego z dużo silniejszą Rosją. Armia Królestwa Polskiego w przeddzień powstania liczyła 27 tys. żołnierzy, a w toku walk osiągała 50 tys. Rosyjski kontyngent skierowany przeciw powstaniu znacznie przekraczał 100 tys. Wszczęli tę wojnę wprawdzie Polacy, a nie Rosjanie, jak w przypadku Ukrainy – ale wyraźnie sprowokowani przez Rosję. Trwała krótko, niespełna rok i zakończyła się polską klęską o dotkliwych dla narodu polskiego konsekwencjach. Ale pozostawiła po sobie ważką spuściznę intelektualną.

Z losów tego powstania można wyprowadzić cenne wskazówki dla dziejów podobnych konfliktów – pod warunkiem niezafałszowanej w duchu bogoojczyźnianym interpretacji tych wydarzeń.

Nie oznacza to, że proponuję interpretację z pozycji lewicowych. Wręcz przeciwnie: wybrałbym prawicowe, ale realistyczne. Takie, jakie do polskiej myśli historycznej wprowadzał Roman Dmowski.

O refrenie „Warszawianki 1831", sztandarowej pieśni tego powstania – „Powstań Polsko, skrusz kajdany, dziś twój triumf albo zgon!" – Dmowski pisał: „Te słowa zawsze budziły mój najgłębszy sprzeciw moralny. Ten, kto myślałby to, co śpiewa, w moich oczach byłby przestępcą". Twórca nowoczesnego polskiego nacjonalizmu ostro piętnował wszczynanie walki zbrojnej o suwerenność bez szans zwycięstwa, z ryzykiem drastycznego pogorszenia losu narodowego. Nie wykluczał walki zbrojnej o niepodległość – ale dopiero, kiedy zaistnieją warunki, niwelujące choćby częściowo różnicę potencjałów. Ten postulat spiskowcy inicjujący powstanie całkowicie ignorowali.

Mieli wiele ważkich powodów, aby buntować się przeciw Rosji, która – zwłaszcza po wstąpieniu na tron Mikołaja I – notorycznie łamała konstytucję Królestwa i wprowadzała brutalne rządy policyjne. Planując walkę zbrojną, nie liczyli się jednak z szansami. Byli nieliczni: parę setek wojskowych i garstka cywili. Nie zadbali o pozyskanie elit Królestwa, zwłaszcza wojskowych; najwyżsi rangą spiskowi to porucznicy, na dowodzenie wojną się nie nadawali. Liczyli, że sam wybuch powstania pomnoży ich siły.

Działali chaotycznie, planowali zdobycie Belwederu i zabicie wielkiego księcia Konstantego. Ponieważ jednak główny spiskowy Piotr Wysocki nie zgodził się powierzyć tego zadania podchorążym, którzy złożyli przysięgę na wierność Konstantemu, zostało one zlecone cywilom do takich akcji nieprzygotowanym, co według Wacława Tokarza („Noc listopadowa") stało się przyczyną niepowodzenia. Wielki książę uszedł.

Już pierwszej nocy podchorążowie wyruszyli na miasto w poszukiwaniu wodza bardziej od nich kompetentnego. Proponowali to każdemu napotkanemu przypadkowo generałowi. Tych, co odmawiali, zabijali. W ten sposób w noc listopadową zginęło sześciu polskich generałów

– weteranów wojen napoleońskich i niewątpliwych patriotów. Przynajmniej trzech z nich było dowódcami wybitnymi i bardzo popularnymi w wojsku: Stanisław Potocki, kiedyś adiutant księcia Józefa Poniatowskiego, szef szkoły oficerskiej Stanisław Trębicki i przede wszystkim Tomasz Siemiątkowski – szef sztabu armii. Wszyscy o nieposzlakowanej opinii, ogromnym dorobku wojennym, kawalerowie Virtuti Militari.

Mógł zginąć również Józef Sowiński, późniejszy legendarny obrońca Woli – też podchorążych tej nocy wyśmiał, ale ocalał, gdyż mierzącego weń bagnetem powstrzymał kolega okrzykiem: „Toż to kaleka!". Sowiński stracił nogę pod Borodino. Zabić kalekę było niehonorowo! Inaczej myślącego – owszem.

Szantaż przeciw rozumowi

Całe to polowanie na wodza okazało się zbrodniczą głupotą. Zabici generałowie nie byli rosyjskimi sługusami. Zaskoczeni sprzeciwili się powstaniu i odmówili przystąpienia do niego. Nie widzieli bowiem szans na sukces, a utraty autonomicznego państwa i wojska polskiego w nim ryzykować nie chcieli. Podobnie jak cała generalicja Królestwa, powstanie wywołane przez młokosów uważali za awanturę i bezsens. Nie chcieli do tego przykładać ręki, próbowali perswadować to podchorążym.

Trudno oprzeć się zdumieniu, czytając opisy tych egzekucji. Trębickiego podchorążacy najpierw całowali po rękach i na kolanach błagali, aby został ich wodzem, a gdy łagodnie im perswadował, próbowali go obezwładnić i uprowadzić. Gdy zdenerwowany zwymyślał ich od gówniarzy i drani, strzelili mu w plecy. Zbrodnię popełnili, ale wodza nie pozyskali. Wielbi się ich za patriotyzm.

Dziwny to patriotyzm, bardzo warcholstwem podszyty, który każe wierzyć, że w ten dziki sposób można zmusić ludzi skądinąd poważnych i odważnych do dowodzenia wojną. Lech Mażewski na określenie takiej postawy wprowadził do naukowego obiegu pojęcie: powstańczy szantaż. Okazał się on dla powstania zgubny.

Elity ówczesnego społeczeństwa były powstaniu przeciwne z motywacji patriotycznych. Głowna osobistość rządu Królestwa, wielce dla Polski zasłużony książę Ksawery Drucki-Lubecki, siadł do karety i wybrał się do Petersburga pertraktować z cesarzem. Nieżyjący już profesor Janusz Tazbir zauważył kiedyś, że gdyby żył wtedy Stanisław Staszic, do Petersburga jechałyby dwie karety.

Elity te, choć krytyczne wobec Rosji, nie chciały narażać na ryzyko samego istnienia Królestwa. Było ono w owych czasach jedyną namiastka polskiej państwowości. Wskrzeszało na mapach imię Polski. Było mniejsze niż Księstwo Warszawskie utworzone przez Napoleona, ale bardziej niezależne. Miało konstytucję najbardziej liberalną w Europie, sejm i senat, wojsko, niezależność gospodarczą, pieniądz, szkolnictwo polskie z uniwersytetem włącznie, polskie prawodawstwo i administrację. Utworzenie tego państwa Polacy początkowo powitali z nadzieją; nawet entuzjastycznie. Dzisiejszy hymn kościelny „Boże coś Polskę" został napisany z tej okazji i na cześć Aleksandra I kończył się wezwaniem: „Pana naszego i Króla racz nam zachować Panie!". Było czego żałować.

Pretekst do likwidacji Polski

Władysław Zamoyski – późniejszy powstańczy generał, który obserwował zdarzenia nocy listopadowej w Warszawie i zorientował się, że większość wojska zachowuje się biernie – nad ranem namawiał generała Skrzyneckiego: „Przelecieć by się po tym powstaniu dwoma szwadronami kawalerii i Polska byłaby uratowana". Jednak polscy generałowie pacyfikować zbuntowanych rodaków nie chcieli – liczyli, że zrobi to wielki książę Konstanty swoimi Kozakami. On także zwlekał, sądził, że polski bunt powinni stłumić sami Polacy.

Konstanty znał nastroje cesarskiego otoczenia w Petersburgu i samego Mikołaja I. Wiedział, że Królestwo z autonomią i liberalną konstytucją kłuje ich w oczy, widzą w tym tworze ognisko zarazy dla rdzennej Rosji i chętnie by je zlikwidowali. Powstanie dawało do tego doskonały pretekst.

Bez takiego pretekstu trudno się było na likwidację zdecydować. Królestwo bądź co bądź stanowiło składową część porządku europejskiego ustanowionego w 1815 r. przez Święte Przymierze. Jego likwidacja naruszałaby ten porządek. Konstanty – aczkolwiek brutalnie panoszył się w tym Królestwie i jego praw nie szanował – likwidacji też nie chciał, traciłby namiastkę swego państwa. Dlatego wolał, aby sami Polacy zdławili bunt podchorążych i odebrali carowi pretekst likwidacyjny.

Tak się nie stało: szantaż powstańczy powstrzymał polskich notabli wojskowych i politycznych, a układy dynastyczne – Konstantego. Powstanie się umocniło.

Kierownicze koła Królestwa, cywilne i wojskowe, zdecydowały się przejąć stery powstańczego państwa i wygaszając stopniowo nastroje powstańcze, zmierzać do kompromisu z Rosją. Prezesurę rządu objął książę Adam Czartoryski; władzę wojskową, często dyktatorską, kolejni generałowie. W starciach z wojskiem rosyjskim mieli sporo sukcesów, ale ponosili też dotkliwe klęski. Liczyli cały czas na porozumienie z carem.

Rachuby te przekreślili sejmowi radykałowie z kręgu tak zwanych kaliszan. W lutym 1831 r. przeforsowali uchwałę o detronizacji Mikołaja I i jego następców. Zyskała ona spory poklask w Warszawie, choć była na rękę właśnie carowi. Wobec mocarstw Świętego Przymierza dawała mu wolną rękę w likwidacji nie tylko powstania, ale i Królestwa. Potępił powstanie nawet papież.

Prezes rządu narodowego Adam Czartoryski kontrasygnował swoim podpisem tę detronizacyjną uchwałę, choć świadom był jej konsekwencji. Podpisując, oświadczył swemu otoczeniu: „Oto tak, Panowie, zgubiliśmy Polskę!". Szantaż działał. Późniejsi historycy raczej już prawem kaduka rozciągnęli tę uchwałę pośmiertnie na Aleksandra I i wykreślili go z listy polskich królów.

Spora część opinii polskiej długo żałowała utraconego Królestwa i nadal skłonna była akceptować Romanowów na polskim tronie. Tylko nie Mikołaja I.

Gdy jego następca Aleksander II wybierał się do Warszawy, w komitecie obywatelskim na jego powitanie znalazło się grono wybitnych Polaków; wśród nich największy pisarz epoki Aleksander Głowacki publikujący pod pseudonimem Bolesław Prus.

Margrabia Aleksander Wielopolski, kierujący cywilną administracją już bardzo okrojonego w swych instytucjach Królestwa, ustawił się wśród składających życzenia Aleksandrowi II w gronie zagranicznych przedstawicieli. Upomniany przez mistrza ceremonii odmówił przejścia do szeregów lokalnych dygnitarzy. Odparł: „Ja jestem tu przedstawicielem króla polskiego Aleksandra III przy cesarzu Rosji Aleksandrze II". Ten gest docenił Józef Piłsudski – skądinąd gorący wielbiciel powstania styczniowego. W wykładzie o tym powstaniu, zastanawiając się nad kalibrem ówczesnych polskich polityków, zdumiał słuchaczy wyznaniem: „Wielkości, gdzie twoje imię? Największe imię to margrabia. Chciałem go kochać, gdyż reprezentował dumę i wielkość swojego narodu!". Można by dodać: a ponadto zgoła niepolską mądrość.

Prezydent rozumny szałem

Wniosek drugi z powstania listopadowego. W sytuacji kryzysowej, gdy ważą się losy narodowe, zagrożeniem stają nie tylko zaprzańcy, lecz także – a czasem głównie – radykalni pseudopatrioci wzywający do walki za wszelką cenę, wbrew rachunkowi sił i szans. Przed takimi przestrzegał Roman Dmowski. Gdyby powstanie listopadowe nie wybuchło – lub gdyby szybko zostało polskimi rękoma wygaszone i car nie dostałby pretekstu do likwidacji najważniejszych atrybutów autonomii Królestwa – mogło ono mimo wszystko przetrwać do Wiosny Ludów i do kryzysu, w jakim Rosja znalazła się po wojnie krymskiej oraz do reform Aleksandra II. Co zapewniłoby temu autonomicznemu państwu trwałość. Aleksander II przyznał wówczas Finlandii bardzo dużą autonomię (język, parlament itp.) – w sprawie polskiej miał ręce związane.

Powstanie listopadowe wzmogło antypolskie nastroje nie tylko w rosyjskich kołach rządowych, a szerzej, w społeczeństwie. Interesującym źródłem dla dziejów relacji rosyjsko-polskich w tym czasie jest największa sala starego pałacu kremlowskiego, Georgijewska. Bardzo okazała, wysokości dwu pięter, wykonana w białym marmurze i złoceniach. Poświęcona Orderowi św. Georgija (Jerzego) – rosyjskiemu odpowiednikowi polskiego Virtuti Militari. Na ścianach tej sali złotymi literami wypisano nazwy jednostek wojskowych, które wyróżniły się w wojnach po 1812 r., do końca XIX w. Sporą część tych odznaczeń nadano za zdławienie powstania listopadowego. Najbardziej podniośle uczczono feldmarszałka Iwana Paskiewicza „grafa jerywańskogo i kniazia warszawskago". Na cokołach kolumn tej sali wypisano natomiast nazwiska tysięcy kawalerów tego orderu. Uderza ogromna ilość polskich nazwisk, wyróżnionych na wojnie krymskiej i na wojnach o Kaukaz. Bardzo wielu Polaków było w tym czasie oficerami rosyjskimi.

Największy bohater powstania styczniowego Romuald Traugutt na tych właśnie wojnach uzyskał stopień podpułkownika, wysokie ordery i dożywotnią pensję. Dowódca słynnego pułku szwoleżerów spod Somosierry Wincenty Krasiński w czasie powstania listopadowego stał po stronie rosyjskiej. Nie był zaprzańcem ani carskim sługusem, pozostał polskim patriotą, tyle że przekonanym, iż to powstanie i ta wojna nie leżały w polskim narodowym interesie. Po klęsce powstania i kapitulacji twierdz pozostały Wielka Emigracja i historyczny spór.

Prezydent Karol Nawrocki w Belwederze głosił chwałę romantycznej dewizy „rozumni szałem" i jednoznacznie brał stronę „młodych" przeciw „starym". Wieścił, że między Polską a Moskalami nigdy nie będzie porozumienia. Nie zastanawiał się nad tym, co będzie, jeśli nowy „starszy brat" z Waszyngtonu nakaże inaczej.

M.Z.

eprasa.pl 8f853d41ab

Wódko, pozwól się pić!

O trzeźwość posłów

Alkohol to nie byle jaki środek psychoaktywny. Nie żaden tam drag. To używka święta i uświęcona. Nawet ksiądz w kościele coś popija. Nie ma mowy, żeby został zakazany „tak w ogóle", jak jakaś kokaina czy inna morfina. A jednak ów wyróżniony status kulturowy alkoholu rodzi pytanie o słuszny kształt regulacji produkcji i sprzedaży tej jakże miłej naszym duszom i jakże szkodliwej dla naszych ciał substancji.

Regulacje alkoholowe mają długą historię, ale tylko najnowszy jej odcinek ma coś wspólnego ze zdrowiem. Dawniej ograniczenia wiązały się utrzymaniem monopolu i kontrolą zysków z produkcji i sprzedaży napojów alkoholowych. Na pamiątkę tamtych czasów, gdy nie ludzkie zdrowie było na pierwszym miejscu, lecz nieludzki zysk z handlu wódką, nasze krajowe sklepy z alkoholem do dziś nazywają się monopolowymi. Na szczęście te czasy już minęły i dziś państwa postępują w taki sposób, żeby i rubelka zarobić, i cnoty nie stracić. Rubelek to zysk z monopolizacji bądź koncesjonowania produkcji i handlu, z akcyzy i ceł, a cnota panoszy się w programach uświadamiania społeczeństwa na temat szkodliwości picia oraz w regulacjach zabezpieczających obywateli, a zwłaszcza dzieci przed pijaństwem i jego zgubnymi skutkami. Niektóre z tych regulacji służą oddzieleniu od alkoholu osób nieletnich, a inne – zabezpieczeniu społeczeństwa przed pijanymi. Ze względu na dobro dzieci nie wolno sprzedawać alkoholu w pobliżu szkół, a ze względów bezpieczeństwa i ogólnego porządku nie wolno pić w pracy ani prowadzić pojazdów pod wpływem alkoholu.

No i tu dochodzimy do przypadku zupełnie wyjątkowego, jakim jest alkohol w miejscach uroczystych bądź takich, w których władza ukazuje swój majestat. Takie miejsca i okazje są i muszą być. Władza musi przynajmniej w minimalnym stopniu być uprzywilejowana, żeby zachować symboliczną ciągłość z czasami, gdy samą istotą władzy było właśnie uprzywilejowanie. Słowem: tradycja. Tak też mocą tradycji na terenie instytucji władzy oraz takich instytucji, które czerpią swój prestiż stąd, że wspierają rząd w jego kulturowych funkcjach, a więc również na terenie uniwersytetów i placówek kulturalnych, dopuszczalne jest podawanie alkoholu w ramach różnego rodzaju uroczystości. Do tego dochodzi jeszcze tradycja dyplomatyczna. Tam, gdzie są goście z zagranicy, alkohol może się pojawić nawet bez uroczystej okazji. Mają na to swój placet prezydent oraz minister spraw zagranicznych.

No a sejm? Cóż, nie ukrywam, że kreślę, a raczej stukam te słowa, pod wrażeniem, dodam: rozbawionym wrażeniem decyzji marszałka Włodzimierza Czarzastego, aby wyeliminować alkohol z lokali usytuowanych na terenie należącym do sejmu i kontrolowanych przez marszałka.

Otóż sprawa tak naprawdę dotyczy tego, że prawo do raczenia się wódką, winem i piwem w restauracji sejmowej wynika z konstytucyjnej równowagi władz. Skoro prezydentowi wolno, skoro premierowi i ministrom wolno, to izba ludowa nie może być tego prawa pozbawiona. Zapewne dlatego właśnie alkoholu dotychczas posłom nie odebrano. Jednakże istnieje jeszcze władza sądownicza. I wydaje mi się, że uroczystości w najwyższych trybunałach muszą się obywać bez „tradycyjnej lamki wina". Dlatego bronię decyzji Czarzastego. Po prostu alkohol został już „odczarowany" – nie pełni swoich dawnych funkcji symbolicznych i statusowych w taki sposób jak dawniej. Jego brak w sejmie nie oznacza niższej rangi sejmu w stosunku do pozostałych naczelnych organów państwa ani nie likwiduje różnicy (istniejącej i słusznej) między wybranymi przez lud posłami a zwykłymi pracownikami instytucji państwowych.

Skoro symbolika zblakła, to robi się miejsce dla pragmatyki i zdrowego rozsądku. A ten podpowiada, że państwo poważnie traktujące zwalczanie alkoholizmu (również za pomocą ustaw) nie może dawać obywatelom do zrozumienia, iż alkohol może i szkodliwy jest, ale poseł to czasem napić się musi. Obecność alkoholu w sejmie obniża wiarygodność sejmu jako organu władzy stojącego na straży między innymi zdrowia publicznego.

Istotne jest również to, żeby posłowie nie przychodzili na obrady po alkoholu, i chociaż można się napić również poza sejmem, to jednak konieczność przejścia kilkuset metrów w jakimś stopniu działa ograniczająco. Niepoważny jest też argument przeciwników sejmowej prohibicji, że przecież posłowie będą przynosić alkohol. Będą przynosić do restauracji? A to w restauracjach wolno pić własny alkohol? To jakaś bzdura. Będą co najwyżej pić po kiblach, ale to przecież patologia.

Godny odpowiedzi jest jedynie argument mówiący o wolności. Sejm może i ma pilnować trzeźwości, lecz również wolności. Wolność posła jest zaś, a w każdym razie powinna być, niedoścignionym wzorcem wolności obywatelskich. W pewnym więc sensie posłom więcej wolno, aby obywatelom wolno było więcej. I tak na przykład każdy z nas może napisać zapytanie do dowolnego urzędu i powinien na nie otrzymać odpowiedź. Jednakże poseł pisze interpelację i na nią odpowiedź musi być solidniejsza. Jestem gotów uznać ten argument, niemiej jednak odnoszenie go akurat do picia wódki jest trywializacją czegoś, co można nazwać przywilejem poselskim. Wódka to wódka. Pijący ją poseł jest po prostu pijącym facetem, szukającym relaksu i przyjemności z lekkiego upojenia alkoholowego, a nie kimś, kto realizuje swoją poselską prerogatywę.

Bo poseł uraczony alkoholem po prostu przestaje być zdolny do pełnienia swojej funkcji. Na kilka godzin wypada z tej gry, więc nie powinien powoływać się na swoje poselskie prawa akurat w odniesieniu do tego błogiego czasu.

I tak Bogiem a prawdą trudno mi zrozumieć i uwierzyć, że trzeba było 35 lat od nastania demokracji i dobrych 75 lat rządowej „walki o trzeźwość", żeby ktoś wreszcie zdobył się na odwagę wylania wódki z sejmu. Tak się wszyscy bali? A może tak kochali się napić w sejmowej restauracji? Kto ich tam wie. Nieważne. Ważne, że wódkę od teraz pijemy w okolicznych knajpach, a w sejmie jest jak w normalnym miejscu pracy, czyli bezalkoholowo. I tak już zostanie. Bo jeśli trudno było wódkę wylać z sejmu, to jeszcze trudniej będzie ją tam wlać z powrotem.

JAN HARTMAN



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Niedźwiedzia

Czy delegalizacja partii Brauna jest możliwa?

Fundacja Akcja Demokracja prowadzi internetową zbiórkę podpisów pod apelem o delegalizację Konfederacji Korony Polskiej, partii Grzegorza Brauna. Inicjatywa nie tylko ma nikłe szanse na powodzenie, ale może przynieść więcej szkody niż pożytku.

Od czasu wyborów prezydenckich, w których Grzegorz Braun zdobył 6,34 proc. głosów i zajął czwarte miejsce w wyścigu do stołka, Konfederacja Korony Polskiej bryluje jako trzecia siła na prawicy. Europoseł Korony rozbudowuje struktury swojej partii w całej Polsce, niezdecydowanych zachęcając antysemickimi i ksenofobicznymi happeningami. Na początku listopada lider KKP pod obozem zagłady w Oświęcimiu przekonywał: „Żydzi chcą być w Polsce nadludźmi, przed którymi kopytami trzaska polska policja". Lista obrzydliwych ekscesów Brauna jest jednak, jak wiadomo, znacznie dłuższa.

Impulsem dla Akcji Demokracja do próby wyrugowania „frontu gaśnicowego" stał się apel europosła KO Bartłomieja Sienkiewicza. Były minister spraw wewnętrznych i administracji oraz koordynator służb specjalnych w rządzie Donalda Tuska, w internetowej odezwie przekonywał, że ugrupowanie Brauna spełnia symptomy organizacji ekstremistycznej, co dyskwalifikuje je z życia publicznego. Ponadto zauważył, że w innych krajach zarówno władze, jak i społeczeństwo występują przeciwko ekstremistom, dlatego czas na Polskę, nim będzie za późno. Pomysł poparł szef MSZ Radosław Sikorski.

„Opinii publicznej znane są liczne przypadki fizycznych i werbalnych ataków dokonywanych przez Grzegorza Brauna – lidera Konfederacji Korony Polskiej oraz jego popleczników. Stosowanie przemocy, szerzenie nienawiści o charakterze narodowościowym – to w polskim systemie konstytucyjnym jasne przesłanki do skierowania wniosku o delegalizację partii politycznej (art. 13 Konstytucji RP)" – napisali autorzy petycji i domagają się interwencji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Waldemara Żurka. Pod petycją Akcji Demokracja podpisało się już ponad 20 tys. internautów. Na tę chwilę można ją potłuc o kant dupy.

Istotnie, niczym nieskrępowana twórczość KKP i jej herszta zdają się wypełniać część założeń wspomnianego artykułu ustawy zasadniczej. Dla porządku obrad warto przytoczyć jego zapis w całości: „Zakazane jest istnienie partii politycznych i innych organizacji odwołujących się w swoich programach do totalitarnych metod i praktyk działania nazizmu, faszyzmu i komunizmu, a także tych, których program lub działalność zakłada lub dopuszcza nienawiść rasową i narodowościową, stosowanie przemocy w celu zdobycia władzy lub wpływu na politykę państwa albo przewiduje utajenie struktur lub członkostwa". Jednocześnie jest to jedynie preludium do rozpoczęcia procedury. Wniosek o zbadanie zgodności z konstytucją działalności partii mogą wnosić tylko podmioty wskazane w art. 191 ust. 1 pkt 1 konstytucji: prezydent RP, marszałek sejmu, marszałek senatu, prezes Rady Ministrów, 50 posłów, 30 senatorów, pierwszy prezes Sądu Najwyższego, prezes Naczelnego Sądu Administracyjnego, prokurator generalny, prezes Najwyższej Izby Kontroli, a także rzecznik praw obywatelskich. Taki wniosek trafia następnie do Trybunału Konstytucyjnego. Dalej – zgodnie z art. 44 ustawy o partiach politycznych – jeżeli Trybunał Konstytucyjny wyda orzeczenie o niezgodności z Konstytucją celów lub działalności partii politycznej, Sąd Okręgowy w Warszawie, który prowadzi ewidencję partii politycznych, niezwłocznie wydaje postanowienie o wykreśleniu wpisu partii politycznej z tej ewidencji.

Przekładając z prawniczego na polski: dopóki Polska nie posprząta burdelu w TK, gówno z tego będzie.

W przyjętej w marcu 2024 r. uchwale sejm stwierdził, że uwzględnienie w działalności organu władzy publicznej rozstrzygnięć TK wydanych z naruszeniem prawa może zostać uznane za naruszenie zasady legalizmu przez te organy. Od tego czasu wyroki TK nie są publikowane w Dzienniku Ustaw. Rząd w przyjętej w grudniu ubiegłego roku uchwale wskazał, że ogłaszanie w dziennikach urzędowych rozstrzygnięć TK mogłoby doprowadzić do utrwalenia stanu kryzysu praworządności, bo dokumenty zostały wydane przez organ nieuprawniony. Sejm podkreślił również m.in., że obecnie orzekający w TK Jarosław Wyrembak i Justyn Piskorski nie są sędziami Trybunału Konstytucyjnego. Obecnie TK liczy 11 sędziów na 15 przewidzianych stanowisk sędziowskich. Kluby sejmowe – poza PiS – konsekwentnie nie zgłaszają kandydatów. 5 grudnia w stan spoczynku (zawodowego) przechodzi sędzia Krystyna Pawłowicz. 20 grudnia kończy się kadencja sędziego Michała Warcińskiego. Jednak sześć wakatów do zapełnienia niewiele zmienia. Kadencje dublerów wygasają dopiero we wrześniu 2026 r. (Justyn Piskorski) i z końcem stycznia 2027 r. (Jarosław Wyrembak).

Z kwadratury prawnego koła doskonale zdaje sobie sprawę sam Waldemar Żurek.

Szef resortu sprawiedliwości pytany przez Onet o możliwość delegalizacji partii europosła Brauna powiedział, że zasadność zarzutów wobec Konfederacji Korony Polskiej może ustalić tylko Trybunał Konstytucyjny, który będzie miał moc orzekania. To jednak nie stanie się prędko. – Czekamy na ważne orzeczenie TSUE. Jest skarga Komisji Europejskiej na nasz Trybunał. Nie wykluczam, że to orzeczenie pojawi się jeszcze pod koniec albo nawet w połowie grudnia tego roku. Jeżeli okaże się, że ono da nam nowe argumenty, że Trybu-

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Posłanka Maria Kurowska należała do Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, do Prawa i Sprawiedliwości, do Solidarnej Polski, do Suwerennej Polski, a teraz znów należy do PiS. Katoliczka jak stąd do Lichenia. Złapana przez Onet na tym, że wysyłała mejle do byłego dyrektora Funduszu Sprawiedliwości Tomasza Mraza. Np. taki mejl z lipca 2020 r.: „Bardzo proszę, aby żadne umowy z Gminami nie były podpisywane bez konsultacji ze mną w powiecie jasielskim i krośnieńskim" (gramatyka oryginalna).

Gdy treść mejli wyciekła do mediów, Kurowska oświadczyła: „Ekipa Tuska zrobiła przestępstwo z tego, że poseł zabiega o fundusze na własny okręg. Cyrk! To jest OBOWIĄZEK POSŁA!". Potem widocznie ktoś od niej mądrzejszy, o co przecież nietrudno, musiał jej powiedzieć, że obowiązek posła obowiązkiem posła, a przestępstwo przestępstwem, bo posłanka zaprzeczyła, żeby taki mejl w ogóle wysłała. Podała następujące uzasadnienie: „W czasie, gdy miał on zostać wysłany, przeżywałam śmierć mojego małżonka i byłam całkowicie wyłączona z działalności publicznej". Na co Onet przedstawił dowód, że w czasie, gdy Kurowska łkała po śmierci męża, wzięła udział w 81 głosowaniach sejmowych, czyli raczej nie była wyłączona z działalności publicznej.

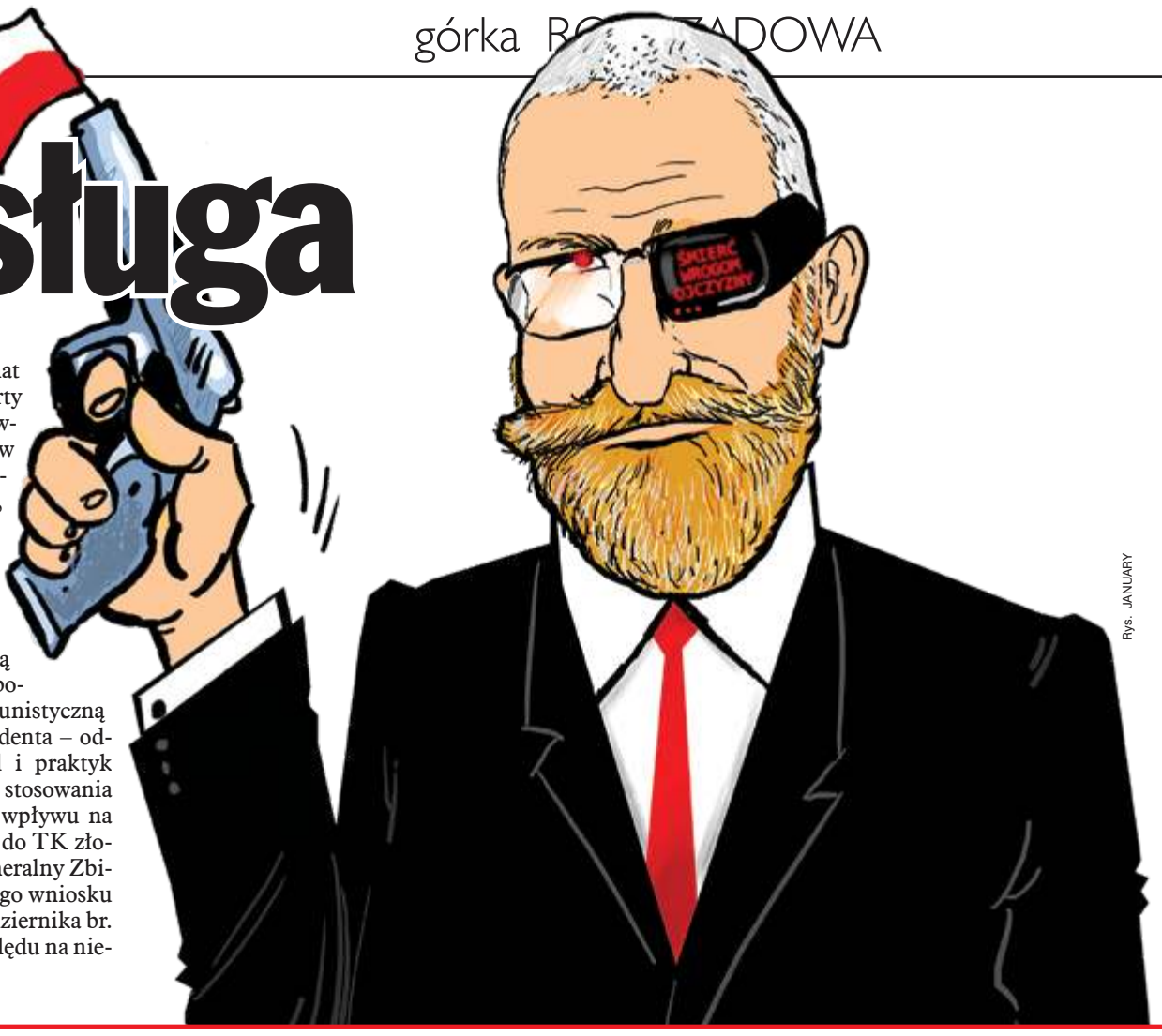
Chciwość, pycha, lenistwo (umysłowe), do tego tyle łgarstw, ile się da. Cała Kurowska. Pisówa, dawniej ziobrówa.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 8f853d41ab

przysługa



Rys. JANUARY

nał będzie można odbudować, to temat ewentualnej delegalizacji będzie otwarty – wyjaśnił. Argumenty Żurka są klarowne i mają sens. Kłopot w tym, że zryw Akcji Demokracja może dać przeciwnikom ministra sprawiedliwości paliwo, żeby zrobić z niego wiatrak.

6 listopada prezydent Karol Nawrocki skierował do Trybunału Konstytucyjnego wniosek o stwierdzenie niezgodności z konstytucją celów programowych innego ugrupowania politycznego. Chodzi o Komunistyczną Partię Polski, która – w opinii prezydenta – odwołuje się do „totalitarnych metod i praktyk działania komunizmu oraz założenia stosowania przemocy w celu zdobycia władzy i wpływu na politykę państwa". Podobny wniosek do TK złożył w 2020 r. ówczesny prokurator generalny Zbigniew Ziobro. Rozprawa w sprawie jego wniosku o delegalizację KPP na początku października br. została odroczona bez terminu ze względu na niestawiennictwo wnioskodawcy.

Nawrocki w przeciwieństwie do Żurka ma w dupie praworządność. Zrobił dobrze swoim wyborcom, bo walczy z „komunizmem". Jednocześnie dał sygnał, że możliwość uwalenia partii to nie czcze gadki,

bo prawicowy wyborca nie będzie roztrząsał, czy wyrok ma moc prawną, albo śledził, czy sprawa wpadła w zapętlenie niekonstytucyjności.

Waldemar Żurek w wywiadzie dla Onetu logicznie rozważał, czy Trybunałowi jest potrzebne skazanie Brauna, czy wystarczy samo nawoływanie do nienawiści. I czy Trybunał może sam ocenić, że skoro lider danego ugrupowania prezentuje takie poglądy, to spada to na całą partię i są podstawy do delegalizacji. Minister sprawiedliwości będzie zatem kontemplował demokrację i marzył o sprawiedliwym Trybunale Konstytucyjnym. W tym czasie Grzegorz Braun ze swoim obwoźnym cyrkiem nienawiści będzie krążył po Polsce i opowiadał, że reżim Tuska i elity brukselskie chcą go dopaść. W sondażach na pewno mu od tego nie ubędzie.

IDALIA DUBICKA

GADMAN

Masło na sztandarze

Czy Morawiecki skończy jak Trocki?

O tym, że w PiS rządzi prezes Kaczyński, każde dziecko na świecie wie. O to, kto przejmie rząd dusz i kasę w PiS, lub powstałych po jego podziale postpisach, spierają się dziś najtęższe w Polsce analityczne głowy. Na pewno kończy się czas dominacji „zakonu PC". Liderów Porozumienia Centrum, pierwszej partii założonej i kontrolowanej przez Jarosława Kaczyńskiego. Potem – grupy towarzyskiej trzymającej władzę w PiS.

Młodszym Czytelnikom wyjaśniam, że grupa towarzyska to wspólnota aktywistów oparta na realizacji ich interesów ekonomicznych, politycznych, początkowo też ideowych. W politologii takie grupy zwą się często partią wewnętrzną. A we Włoszech – mafią.

Zakonnicy

Dziś liderzy „zakonu PC" to ludzie w wieku 70 plus. Najmłodszy Adam Lipiński, intelektualista, miłośnik książek, redaktor świetnego kiedyś pisma „Nowe Państwo", wsławiony podsłuchem założonym w pokoju posłanki Samoobrony Renaty Beger, znanej z bon motu o „kurwikach w oczach", dożywa na wypasionej posadzie w Narodowym Banku Polskim. Aby jego wnukom żyło się dostatniej.

Kolejny z nich to Wojciech Jasiński, koleś studenta Jarosława Kaczyńskiego od winnych balang na prawie Uniwersytetu Warszawskiego, potem prominentny działacz Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Płocku, potem poseł na sejm z nadania kolegi prezesa Jarosława. Ponieważ towarzysz Jasiński był prominentem pionu ekonomicznego w PZPR, zwanej dziś przez medialnych durniów „partią komunistyczną", to kolejna matka partia też rzuciła go na odcinek ekonomiczny. Dzięki temu były „komunista" zarabiał kasę, prezesując firmie Orlen, potem był ważniakiem w PKO BP, a teraz suto dorabia w Narodowym Banku Polskim. Bo tam prezesem jest Adam Glapiński, też z „zakonu PC".

Młodszym Czytelnikom przypominam, że w ostatniej dekadzie działalności PZPR też byłem w PZPR. Ale byłem tam zwykłym członkiem, podobnie jak towarzysz Włodek Czarzasty. W przeciwieństwie do towarzysza Wojciecha Jasińskiego. Ponieważ nie mieliśmy też szczęścia pić wina z Jarosławem Kaczyńskim, to nie dostaliśmy na starość wypasionych posad w spółkach skarbu państwa lub w NBP. Morał: nieważne, co studiujesz, ważne, z kim wtedy winko pijesz. I drugi morał: w III Rzeszy marszałek Hermann Göring decydował, kto jest Żydem w Luftwaffe. W III Rzeczypospolitej to prezes Kaczyński decyduje, kto aktualnie jest „postkomunistą".

W sejmie bywają też inni prominenci z „zakonu PC". Były marszałek sejmu Marek Kuchciński. Ale od kiedy przywarła do niego łatka klienta ukraińskich burdeli, pewnie niezasłużona, bo nie wygląda na takiego zaganiacza, to zredukował swą aktywność do prezesury Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego.

W cień polityczny przemienił się też były wicemarszałek sejmu Ryszard Terlecki. Kiedyś kolorowy ptak hipisowskiego ruchu wolnościowego. Do dziś bohater częstochowskich legend. Kiedy w czasach Polski Ludowej był aktywistą zlotu hipisów pod Jasną Górą i biegał tam ponoć z ptakiem bez uwięzi. Dziś jest jedynie posłem weteranem. W mediach pozuje z kwaśną miną. Bywa czasem na Jasnej Górze, ale zawsze w nienagannych spodniach.

Kiedy stary prezes Kaczyński coraz dłużej śpi, w jego partii budzą się polityczne demony. Frakcje, sitwy, grupy towarzyskie. Jeszcze przyczajone, ale szykujące się do przyszłej walki o spadek po starzejącym się prezesie i „zakonie PC".

Dziś bój toczy się o przyszły program wyborczy PiS. Bój pierwszy, bo ostatnim będzie ten o miejsca na listach wyborczych do sejmu i senatu. Bój dziś jeszcze skrywany, bo jego areną jest PKP, czyli prezydium Komitetu Politycznego PiS skupiające grono działaczy odpowiedzialnych za program partii. Przewodniczącym tego PKP jest oczywiście prezes Kaczyński. Bój toczą wiceprezesi. Są nimi: Mariusz Błaszczak, Tobiasz Bocheński, Joachim Brudziński, Przemysław Czarnek, Patryk Jaki, Anna Krupka, Antoni Macierewicz, Mateusz Morawiecki, Beata Szydło, Elżbieta Witek, Zbigniew Ziobro. Dziś biją się nie wszyscy rzecz jasna. Aktywność swą ogranicza Zbigniew Ziobro, bo ukrywa się w Budapeszcie. Milczącą postawę przyjął Mariusz Błaszczak, bo kreuje się na ucho i oko prezesa Jarosława.

Masło atakuje

Rozgrywający to trójka wiceprezesów: Tobiasz Bocheński, Przemysław Czarnek i Partyk Jaki. Wsparci członkiem PKP Jackiem Sasinem. To oni stworzyli najsłynniejszą dziś frakcję w PiS zwaną maślarzami. Nazwa nawiązuje do jej lidera eurodeputowanego Tobiasza Bocheńskiego. Aktualnego cudownego dziecka politycznego PiS, pupila prezesa Kaczyńskiego. Tenże Bocheński larum wszczął, bo podczas lotu z Frankfurtu polskimi liniami LOT został zmuszony do spożywania niemieckiego masła zamiast polskiego. Z winy Tuska rzecz jasna. Oczywiście była to akcja medialna dla pobudzenia gniewu najbardziej „ciemnego PiS-owskiego ludu". Niestety, tym razem polityk PiS okazał się głupszy od swych najgłupszych wyborców. Nawet oni wiedzą, bo też latają samolotami, że za żarcie w samolocie odpowiada firma zlokalizowana na lotnisku wylotowym. Dlatego Niemcy wylatujący z Polski skazani są na polskie masło. Także na polskie batony i benzynę.

Tak to Bocheński został „maślarzem". Ale też, jak każdy głupi, zyskał wielką rozpoznawalność w polskim internecie. Dlatego starsi, bardziej przebiegli koledzy, namaścili go na lidera nowej frakcji. Mógł nim zostać, bo frakcja nie ma spójnej ideologii ani programu politycznego. Spaja ją postulat zglebowania byłego premiera, aktualnego wiceprezesa PiS posła Mateusza Morawieckiego.

Taki postulat dowodzi, że „maślarze" są prawdziwie polskimi politykami. Przecież przez lata PiS scala nienawiść do Donalda Tuska, a Koalicję Obywatelską – do Jarosława Kaczyńskiego. Dodatkowo młody Tobiasz Bocheński liczy pewnie, że kierując „maślarzami", nawet jako figurant, wybije się w mediach do grona polskich liderów. Bo w polskiej polityce nieważna jest rzeczywistość, ważny jest wizerunek medialny.



Rys. MARCIN CHUDZIK

Stojący za plecami Bocheńskiego były minister Przemysław Czarnek marzy, by zostać premierem przyszłego rządu PiS–Konfederaci. Morawiecki mu przeszkadza. Zwłaszcza że były premier wrzuca do partyjnej debaty pomysł przyszłej koalicji rządzącej złożonej z odmłodzonego, zliberalizowanego PiS i ociosanej z lewactwa Koalicji Obywatelskiej.

Kolejny stojący za plecami Jacek Sasin chce zdołowania Morawieckiego, bo jak mawiają w PiS, chce wyrzucić z jeszcze kontrolowanych przez PiS szmalcownych posad ludzi Morawieckiego. I obsadzić je swoimi ziomalami. Trzeci z antymorawieckich muszkieterów eurodeputowany Patryk Jaki chce dintojry z przyczyn estetycznych. Jak twierdzą w PiS, deputowany Jaki nienawidzi Morawieckiego, bo dokonał on egzekucji „królowej polskich serc", czyli premier Beaty Szydło. Idolki Jakiego, teraz jego koleżanki z Parlamentu Europejskiego. Co prawda decyzję o egzekucji wydał prezes Kaczyński, ale Jaki wie, że za krótki jest na prezesa. Musi zadowolić się zemstą na jego siepaczu.

Dlatego „maślarze" mogą w PKP liczyć na wsparcie zasiadającej tam eurodeputowanej Beaty Szydło i posłanki Elżbiety Witek. Tworzącej wraz z Anną Zalewską i kilkoma innymi posłankami z PiS wpływowy, nieformalny „gang tapirów". Zwany tak od preferowanego przez nie stylu czesania włosów. Inni prominentni dziś członkowie PKP, jak poseł Anna Krupka, caryca ziemi świętokrzyskiej, i eurodeputowany Joachim „Jojo" Brudziński, organizator wakacji prezesa Kaczyńskiego, taktycznie czekają na efekt walk frakcyjnych.

„Harcerzom" śmierć

W Chinach mawia się, że aby przestraszyć tygrysa, trzeba zabić małpę. „Maślarze" z PiS w tej roli obsadzili „harcerzy" Morawieckiego. Harcerzami w PiS zwani są aktywiści tej partii, którzy swą działalność społeczną zaczynali w Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej (ZHR). Powstałego w III RP, bardziej prawicowego, katolickiego od działającego w Polsce Ludowej Związku Harcerstwa Polskiego (ZHP). Potem poszli do polityki w PiS i stworzyli tam swoją wspólnotę opartą na przyjaźniach wywodzących się z ZHR.

Mateusz Morawiecki nie robił politycznej kariery w PiS, nie miał tam swego zaplecza ludzkiego. Zaczął współpracować z „harcerzami", już kiedy był banksterem, prezesem BZ WBK. Dawał „harcerzom" posady, pozwolił im zarobić pierwsze duże pieniądze. Kiedy został premierem, zostali jego zaufanymi ministrami, szefami ważnych urzędów. Ponoć sami „harcerze" opowiadali, że Morawiecki ich zorganizował, ale też skorumpował. Dzięki niemu kupowali sobie luksusowe domy, mieszkania na wynajem, drogie samochody.

Za liderów „harcerzy" uchodzą: były szef Kancelarii Premiera Michał Dworczyk, były szef Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, ścigany dziś za korupcję Michał Kuczmierowski, mistrz czarnego pijaru Mariusz Chłopik. O herezję „harcerstwa" oskarżony jest były minister, poseł Janusz Cieszyński. Wycięty z pisowskiego programowego zespołu do spraw cyfryzacji. Oficjalnie „za niepłacenie składek partyjnych" miał wylecieć z PiS związany z Morawieckim eurodeputowany Waldemar Buda.

Dziś „maślarze" są górą, zdominowali zespoły piszące program PiS. Za dwa lata okaże się, czy to oni będą pisać listy wyborcze do sejmu i senatu. Bój trwa i narasta, bo każdy z nich chce silnej i zjednoczonej polskiej prawicy. Dlatego nie pytajcie, proszę, dlaczego prawicowych polskich polityków nie ma w gremiach decydujących o losach Ukrainy, Unii Europejskiej i świata.

PIOTR GADZINOWSKI

eprasa.pl 8f853d41ab

Bajki dla myślących

Europa rulez!

Czas na suwerenność

Tak, wiem! Bajka o Europie, jaką opublikowałam w poprzednim numerze „NIE”, brzmi jak miłosne wyznanie nastolatki. Może przez ten tydzień dojrzałam, a może to miłosne wyznanie było jednak wyrazem oburzenia na bezustanne gderanie zakompleksionych eurokatastrofistów mieszających z błotem „moją Europę”. Bo ponurzy eurokatastrofiści sprzedają nam opowieść, w której każdy może być bohaterem: bo to niby my – w Polsce – jesteśmy „ostatnimi trzeźwymi Europejczykami”, tymi, którzy widzą więcej, wiedzą lepiej, rozumieją głębiej. Ich narcyzm zwany nacjonalizmem, karmiony chroniczną od wieków bohaterską katastrofą, to dla nich znakomite paliwo.

Jak każdy i jak wszystko na świecie Europa nie jest pozbawiona swoich problemów i wad. Wiadomo: wojna za progiem, stoimy w geostrategicznym przeciągu, czasem psują nam życie debilni, niedouczeni politycy, a w tym wszystkim polski paraliż spowodowany przez dwa polityczne plemiona – efekt polityki 20-lecia. Wiem, ale ja dziś nie o tym.

Dzisiaj bajka o suwerennej Europie. Bajka, bo o uwolnieniu się od amerykańskiej imperialnej dominacji Europejczycy mogą tylko pomarzyć. Europa żyje i ma szansę na suwerenny rozwój i pójście swoją drogą. Zatem dziś pełna faktów bajka o Europie.

A zatem przejdźmy do faktów, bo fakty, wbrew pozorom, są nudne tylko dla tych, którzy się ich boją. Europa ma najwyższy poziom życia na świecie – wyższy niż USA, gdzie na statystyczną wizytę u lekarza trzeba odkładać jak na samochód. Europejczycy żyją dłużej, mają niższą śmiertelność noworodków, ginie tu bez porównania mniej ludzi od kul. I, co szczególnie zabawne, kiedy prawicowi krytycy mówią: „Europa nie produkuje technologii”, to mówiąc to, używają – całkiem dosłownie – europejskich sensorów, europejskich materiałów, europejskich leków i samochodów. To jest realna przewaga technologiczna. Nie memiczna. Nie widowiskowa. Strukturalna.

W globalnym porównaniu Europa nie jest wcale przegrywem. Ameryka to faktycznie nadal finansowy i militarny gigant, ale gigant skolonizowany przez współczesnych władców feudalnych – oligarchów produkujących nierówności społeczne, które przeżerają ją jak rdza i rozsadzają od środka. Dzięki uwolnieniu dolara od parytetu złota USA nadal łupią większość świata z owoców ludzkiej pracy. Europa jest jedynym regionem świata, w którym postęp mierzy się dobrostanem ludzi, a nie liczbą i bogactwem miliarderów. Europa, jeśli otworzy szerzej oczy i zainwestuje w naukę, postawi na nowoczesne inwestycje i zadba lepiej o wszystkich obywateli, to stanie się liderem świata.


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Chiny imponują skalą i tempem rozwoju. Są światowym liderem produkcyjnym, a być może niebawem będą jednoznacznie największą światową potęgą. Ale póki co spektakularne podniesienie poziomu życia obywateli z kompletnej nędzy okupione jest ich morderczą pracą przez sześć dni w tygodniu po dziewięć godzin dziennie, skromnym urlopem i brakiem powszechnego zabezpieczenia emerytalnego. Tego nie da się utrzymać na dłuższą metę bez autokratycznych rządów. Trudno przewidzieć, czy ostatecznym celem Xi Jinpinga jest zastosowanie w praktyce deklaratywnie przyjętego marksistowskiego marzenia o rzeczywistości, czy raczej wprowadzenie w życie wizji konfucjańskich i taoistycznych tradycji cesarstwa.

Odnotujmy fakty: Europa jest drugą gospodarką świata. Nie Azja Południowa. Nie Ameryka. Europa. Europa jest największym co do wartości producentem światowej farmacji (tworzy i sprzedaje najnowocześniejsze na świecie leki). Europa eksportuje więcej samochodów, niż USA potrafi w ogóle wytworzyć.

Jest największym eksporterem dóbr po Chinach, a przed USA. Europa jest partnerem handlowym numer jeden dla 80 państw świata. W Europie rozwinęliśmy spektakularną technologię komputerów kwantowych.

Przyjrzyjmy się też europejskiej odporności: wróćmy zatem na chwilę do sytuacji z 2008 r. Banki pękają jak bańki mydlane, Ameryka wpada w panikę, a część analityków wróży Europie – już wtedy – rychłą zapaść. I co się dzieje? Strefa euro nie tylko nie pęka, ale staje się jedną z najbardziej stabilnych unii walutowych w historii.

Następna próba: pandemia. Globalny lockdown, jakiego nikt nie doświadczył od stulecia. A jednak Unia – ta struktura niby „kompletnie niezdolna do spójnej reakcji” – stworzyła jeden z największych na świecie wspólnych programów ratunkowych, wspólne zakupy szczepionek, fundusz odbudowy liczący setki miliardów euro. I można dyskutować, czy wszystko poszło idealnie – oczywiście nie wszystko – ale efekt jest jeden: Europa po pandemii nie popadła ani w masową falę bankructw, ani w demontaż usług publicznych, jak wiele krajów świata. To jest odporność systemowa. Cicha, niewidoczna, ale solidna jak korzenie starych dębów.

A potem przychodzi brexit – przewidywany przez wielu jako początek efektu domina. „Pierwszy klocek runął” – mówili. Dziś wiemy, że żaden następny nie spadł. Wręcz przeciwnie: kolejne kraje, widząc brytyjską gehennę biurokratyczno-gospodarczą, odsunęły od siebie pomysł wyjścia z Unii. To nie jest magia – to odporność.

A teraz o życiu. Bo to właśnie tu, w europejskim modelu socjalnym, do którego można mieć wiele zastrzeżeń, kryje się realna potęga Europy. Siła, której zazdrości nam cały świat. Tu ludzie żyją najdłużej na świecie. Umieralność noworodków jest jedna z najniższych. Liczba zabójstw jest najniższa spośród niemal wszystkich dużych regionów świata (może poza Chinami?). Europejczycy pracują mniej, a są bardziej produktywni niż Amerykanie.

A puenta tej bajki? Może taka: jeśli Europa potrafiła przetrwać tyle burz, to czego jeszcze mogłaby dokonać, gdybyśmy spojrzeli na nią jak na konstruktora? Jak na wielki własny dom – na społeczeństwo, które nie musi udowadniać siły, bo już ją ma?

I wiecie co? Patrząc na świat z lotu ptaka, dochodzę do konkluzji, że czas najwyższy przestać kłaniać się Ameryce, która zadufana w swej sile ma nas gdzieś. Czas na europejską suwerenność.

ANNA GRODZKA

SŁOWO CZERWONE

Czarzasty wychodzi z cienia

O szefie formacji niesłusznie nazywanej lewicą

Komuch został marszałkiem – jojczą prawicowi posłowie i redaktorzy. Zachowują się tak, jak gdyby „komuch” nie był dwa razy z rzędu prezydentem – za drugim razem w pierwszej turze, co się żadnemu niekomuchowi dotąd nie udało. Tymczasem zagorzały kibic Lechii Gdańsk wszedł do pałacu jakimś żałośnie małym marginesem głosów. W 2000 r. Kwaśniewski wygrał w pierwszej turze, osiągając 53,9 proc. głosów – i to mimo że kazał Markowi Siwcowi całować ziemię kaliską.

Więc nie ma się co dziwić Włodzimierzowi Czarzastemu, że uczynił Siwca szefem kancelarii. „Komuchy” trzymają się razem. Dając „komuchom” niejedno zwycięstwo wyborcze, suweren, czyli naród, dał im pełne prawo do uczestniczenia w demokracji. Zresztą źle to świadczy o prawdziwych patriotach, że zdarzało im się przegrywać z byłymi członkami Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Prawie dwie dekady trzeba było czekać, żeby prawicowa – a więc niekomunistyczna – partia pobiła wynik, jaki „komuchy” (w koalicji z Unią Pracy) uzyskały w roku 2001: 41 proc. Nazywano ich wówczas postkomunistami, a więc już nie komunistami.

Oczywiście nazywanie komunistą kogoś, kto tak znakomicie jak Czarzasty odnalazł się w kapitalizmie, jest niemądre. Czarzasty bowiem wziął swój los we własne ręce i został bogaczem, kapitalistą. Karol Nawrocki też tak chciał, ale mu poszło co najmniej słabo.

Ktoś powie, że tak szybka kariera w biznesie nowego marszałka sejmu rodzi podejrzenia. Za to deweloperzy finansujący PiS i PO też nie dorobili się, smarując chleb cienko margaryną. Nie rzucajcie zatem kamieniami, skoro sami dziewicami nie jesteście. Czarzasty procesów nie przegrywa, a w siodle siedzi mocno.

Dlaczego Czarzasty? – drą włosy z głowy telewizyjni superpatrioci. Bo jest szefem formacji niesłusznie zwanej lewicą, która zdobyła ponad 8 proc. głosów, bez których nie dałoby się stworzyć obecnie rządzącej koalicji. Współtwórców tego sukcesu trzeba było jakoś obdzielić. A że marszałek może być tylko jeden, to najpierw był Hołownia, a po nim przyszła kolej na Czarzastego. Pan Włodzimierz nie jest tytanem intelektu, ale swój rozum ma. Jest też zręcznym graczem gabinetowym i już dziś widać, że władzy raz zdobytej z rąk nie wypuści. Czyli że nie da się strącić z piedestału lidera lewicy.

Pierwszy raz zostałem posłem, bo Kwaśniewski potrzebował w swoich szeregach radykalnego działacza opozycji: represjonowanego i takiego, który nigdy nie był w partii. Sądziliśmy wtedy, że oportuniści z PZPR mogą stać się chociaż socjaldemokratami. Na rozmowy programowe z Millerem my, pepeesowcy, wyruszyliśmy pełni nadziei, że przekonamy partyjnych aparatczyków do naszych radykalnych reform społecznych, wstrzymania prywatyzacji, aktywnej polityki społecznej itp. Jakież było nasze zdumienie, kiedy Miller i towarzyszący mu Krzysztof Janik zgodzili się na wszystkie nasze propozycje od razu, wpisali je na ulotki, aby zaraz po wyborach o nich zapomnieć. Zrozumieliśmy w ten sposób, że oni z żadną lewicą społeczną nie mają i nie chcą mieć nic wspólnego. Wielu prospołecznych pisowców dla Millera (zwolennika podatku liniowego) czy Kwaśniewskiego to groźni lewacy.

W szeregach PiS nie brakuje byłych pezetpeerowców. Ci są najgorsi. Wypierają się swojej przeszłości, by jak najszybciej zmyć z siebie piętno „komucha”. To ci przeszli na złą stronę mocy.

Często szczerze lub nieszczerze prawicowcy wypytują mnie, czy byłem w PZPR. Niesłusznie bowiem sądzą, że przywiązanie do idei równości, sprawiedliwości społecznej można wynieść z tylko z partii. Nic bardziej błędnego. Ja lądowałem w aresztach za to, że byłem szczerze i mocno przywiązany do moich socjalistycznych ideałów. A partyjniacy tymi ideałami gardzili. Nomenklatura szykowała się do uwłaszczenia, by dzielić łupy z co bardziej cwanymi solidaruchami.

Nazwanie Czarzastego komunistą byłoby niezasłużonym komplementem. Jest on kimś, kto poczytuje sobie za honor nieposiadanie żadnych poglądów. Należy do ludzi, którzy na transformacji ustrojowej skorzystali. Do tych, którzy doskonale wiedzieli i wiedzą, gdzie są konfitury.


Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Jedno jednak trzeba mu przyznać. Jest w swym bezgranicznym cynizmie bardzo szczery. Poszedł za Donaldem Tuskiem i jak na razie dobrze na tym wychodzi. On, bo niekoniecznie jego formacja. Osiągnął dużo słabszy wynik niż w poprzednich wyborach, a i tak cieszył się jak dziecko, że bez niego nie będzie koalicji i z tym swoim gorszym wynikiem będzie mógł współrządzić. Spogląda teraz na świat okiem kogoś, kogo nikt nie odsyła do tylnego wagonu. Podziękowaniom, wiernopoddańczym hołdom nie było końca, gdy wstępował na swój urząd. Było to tak żenujące, że Razem, które miało go poprzeć, w końcu zagłosowało przeciw tej nominacji.

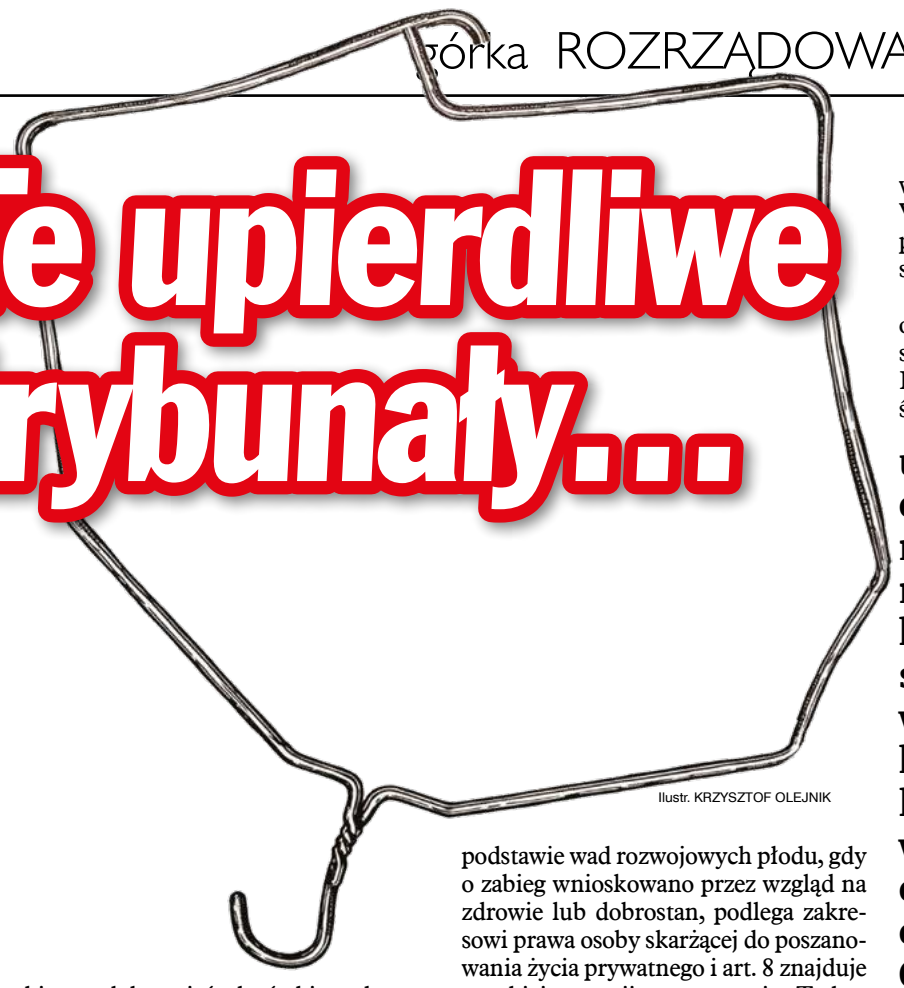
Co dalej?

Zastanawiając się, jak dalej potoczy się ta kariera, warto zauważyć, że ankietowani w tej sprawie Polacy uważają, że będzie lepszym marszałkiem niż Hołownia. Teraz nadszedł jego czas. Jedną decyzją zakończył bezczelne chlanie w sejmie. Zostanie już tylko chlanie pokątne. Zrobi też to, co rodacy ubóstwiają. Uderzy nieuczciwych podróżników po kieszeni, robiąc porządek z kilometrówkami. A to dopiero początek, Czarzasty wychodzi z cienia.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 8f853d41ab

Te upierdliwe trybunały...



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Polska jest w piździe, a nie w Europie

Ostatni wyrok Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) zobowiązujący państwa do prawnego respektowania małżeństw tej samej płci zawartych na terenie wspólnoty wywołał spory entuzjazm. Niestety, Donald Tusk popsuł dobre nastroje. Premier oznajmił: „Nie jest tak, że Unia Europejska może nam w tej kwestii cokolwiek narzucić". Zaznaczył też: „Nie pierwszy raz mamy do czynienia z takim wyzwaniem, jakim jest wyrok i interpretacja tego czy innego Trybunału Europejskiego". To prawda. Na przykład 13 listopada Europejski Trybunał Praw Człowieka (ETPC) uznał, że Polska naruszyła art. 8 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka w kwestii prawa do poszanowania życia prywatnego i rodzinnego. Sprawa dotyczyła aborcji. Temat przeszedł przez rząd bez echa. To duży błąd. Zwolennicy płodowego zamordyzmu nie próżnują.

Sprawa dotyczyła kobiety w 15. tygodniu ciąży, u której zdiagnozowano wadę genetyczną płodu – trisomię 18, tzw. zespół Edwardsa. Po wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 22 października 2020 r. ograniczającym przesłankę eugeniczną aborcji, skarżąca nie mogła legalnie przerwać ciąży w Polsce. Kobieta nie chciała ryzykować tym, że wyrok TK zostanie opublikowany, zanim przeprowadziłaby do końca wszystkie kroki uprawniające ją do legalnej aborcji w kraju. Obawiała się też postaw, jakie mogłyby zająć placówki medyczne w Polsce jeszcze przed publikacją wyroku Trybunału Konstytucyjnego, jak również ryzyka zamknięcia granic z powodu pandemii koronawirusa. Ostatecznie zabieg usunięcia ciąży przeprowadziła prywatna klinika w Holandii.

Skarga Polki objęła domniemane naruszenie dwóch artykułów Europejskiej Konwencji Praw Człowieka: art. 3 (zakaz tortur) i art. 8. (prawo do poszanowania życia prywatnego i rodzinnego).

Trybunał uznał, że naruszony został art. 8.

ETPC powołał się na to, że pojęcie „życia prywatnego" obejmuje także decyzje dotyczące posiadania bądź nieposiadania dzieci. Podkreślił, że już wcześniej w innych sprawach uznawał, że zakaz przeprowadzenia aborcji na podstawie wad rozwojowych płodu, gdy o zabieg wnioskowano przez wzgląd na zdrowie lub dobrostan, podlega zakresowi prawa osoby skarżącej do poszanowania życia prywatnego i art. 8 znajduje w takiej sytuacji zastosowanie. Trybunał uznał w szczególności, że ingerencja w prawa skarżącej była skutkiem znacznej niepewności w okresie pomiędzy ogłoszeniem wyroku Trybunału Konstytucyjnego w 2020 r. a jego publikacją w 2021 r. W tym czasie bowiem nie było jasne, czy ograniczenia dotyczące aborcji z powodu wad płodu już obowiązują, czy też aborcja nadal może być legalnie przeprowadzona. To trochę tak jak obecnie, kiedy legalnie usunąć zepsutego płodu nie można, ale jak się dobrze zakręcić u psychiatry, to można. O ile znajdzie się chętną do utylizacji wadliwej ciąży placówkę.

Orzeczenia ETPC muszą być respektowane przez rządy, a także sądy krajowe, co wynika z podpisanych przez państwa umów międzynarodowych. Tymczasem politycy w kraju nad Wisłą, zamiast kręcić na wyroku lody pod nowe ustawodawstwo legalizujące skrobanki, schowali głowy w dupy.

Pod koniec listopada, czyli już po ogłoszeniu wyroku ETPC, były minister nauki Dariusz Wieczorek z Nowej Lewicy na antenie radia RMF FM puścił farbę, że

ustawy liberalizujące prawo aborcyjne nie będą procedowane w sejmie do końca kadencji. Powodem są stare dobre podziały w koalicji rządzącej, które utrudniają znalezienie większości w tej sprawie. Przeciwko jest PSL, ale też część posłów Koalicji Obywatelskiej.

Politycy zakładają, że ustawę o eksmisji płodów z macic zawetuje prezydent Nawrocki, więc nie chcą pracować nad kontrowersyjnymi tematami, żeby nie denerwować wyborców ewentualnym niepowodzeniem.

– Jedyne rozwiązanie to wygrać wybory w 2027 r. – podsumował Wieczorek. W wolnym tłumaczeniu oznacza to tyle, że KO nie chce wkurwić konserwatywnego wyborcy, licząc na piczny kłak poparcia w nadchodzących wyborach. Dla reszty ma – ten sam od lat – ochłap spłowiałych obietnic. Krótko mówiąc, rząd Tuska powtarza błędy z czasu kampanii prezydenckiej. Druga strona barykady nie ma takich obiekcji.

5 listopada do prac sejmowej komisja trafiła petycja, która miała na celu zdefiniowanie możliwości wykonania aborcji w przypadku, gdy ciąża zagraża zdrowiu lub życiu osoby ciężarnej. Propozycja wskazywała na konieczność wprowadzenia delegacji ustawowych zobowiązujących Ministerstwo Zdrowia do wydania zasad i kryteriów stwierdzenia zagrożenia zdrowia psychicznego ciężarnej. Kolejny postulat obejmował wymóg, aby w przypadkach, gdy płód osiągnie zdolność do samodzielnego życia poza organizmem matki, przerywanie ciąży polegało na wywołaniu przedwczesnego porodu. Nie trzeba być jasnowidzem, żeby zrozumieć, jakie skutki miałoby wprowadzenie takich zapisów.

Projekt zmian nie otrzymał dalszego biegu tylko z przyczyn proceduralnych. Co to oznacza? Petycja dotyczyła zmiany ustawy, co nie leży w kompetencjach Komisji do Spraw Petycji. W toku debaty ustalono, że propozycję zmiany ustawy z 1993 r. może przygotować grupa posłów, prezydent lub inicjatywa obywatelska. Nie zdecydowano się też na przekazanie petycji do komisji ds. aborcji, bo ta zajmuje się jedynie ustawami. Odrzucono również pomysł skierowania petycji do MZ, uznając, że jej autor może to zrobić samodzielnie. Za dwa lata, kiedy do władzy dojdą prawicowe konserwy, nowe, doszlifowane przepisy zapewne wjadą jedną z wyznaczonych ścieżek.

Marginalizacja lewicowych postulatów przez rzekomo proeuropejskie centrum otworzy na oścież wrota dla konserwatywnego bezhołowia. Katolicka prawica, podobnie jak teraz Tusk, nie będzie się oglądać na wyroki unijnych instytucji. Być może wykorzysta te same co premier i jego środowisko argumenty dla takiego działania. Pokorne cielę dwie matki ssie – nie trzeba wychodzić z Unii Europejskiej, żeby mieć ją w pompie. Można też przegrać wybory prezydenckie i dalej mieć w dupie wyborców.

IDALIA DUBICKA

Z Unią nie po kolei jest

Stany Zjednoczone tak naprawdę zjednoczyła wybudowana w XIX w. kolej od oceanu do oceanu.



Rys. HENRYK CEBULA

Z początkiem wakacji PKP Intercity ogłosiło narodziny czegoś wyjątkowego – bezpośredniego połączenia kolejowego z Warszawy do chorwackiej Rijeki. Media uradowane, politycy radośni, internauci w ekstazie. Mamy pociąg z Polski nad Adriatyk! Jesteśmy częścią nowoczesnej, zintegrowanej, europejskiej rzeczywistości. No, nie do końca.

Ku słońcu

Zacznijmy od tego, że „bezpośrednie połączenie" nie oznaczało, że pociąg jedzie sobie swobodnie od Warszawy do Rijeki. Otóż skład startował z Warszawy o 14.00, dojeżdżał do Wiednia jako pasażer u kogoś innego – konkretnie jako doklejone wagony do pociągu IC Sobieski – by tam, około 22.30 zostać odczepiony. Nie dlatego, że coś się popsuło. Wagony od PKP odpoczywały chwilę w Wiedniu, po czym dołączało się je do austriackiego pociągu i ruszały dalej – tym razem już jako część nowego składu. Gdzieś w okolicach 4.00 następnego dnia doklejało się je do innego pociągu z Budapesztu do Rijeki. Po drodze mijano pięć państw: Polskę, Czechy, Austrię, Słowenię i Chorwację. Przekraczano cztery granice, każdą z własnym rozkładem, napięciem trakcyjnym, sygnalizacją, a często i z własnym poczuciem humoru.

Bo kolejowa Europa nie jest jednolita. Polska jeździ na 3 kV prądu stałego, Austria i Czechy już na 15 kV prądu zmiennego, Słowenia też, ale Chorwacja ma 25 kV. Więc bez zmian lokomotyw się nie obejdzie.

Czas przejazdu? „Tylko" 19 godzin. Oznacza to, że średnia prędkość składu wynosiła ok. 63 km/h. Dla porównania: samochodem tę samą trasę pokonamy w 11–12 godzin. Samolotem – w dwie godziny.

Pociąg miał 172 miejsca – w drugiej klasie, 40 w kuszetkach. Cena biletu zaczynała się od około 200 zł w jedną stronę – tanio, jak na urlop. Tylko że bez gwarancji, że wsiądziesz, wysiądziesz i zaśniesz bez budzenia. Bo przecież co kilka godzin coś się dzieje: zmiana lokomotywy, odłączenie wagonu, dołączenie wagonu, kontrola graniczna (tak, mimo Schengen), kolejna zmiana napięcia. I jeszcze raz.

Oczywiście to i tak postęp. Przecież jeszcze dekadę temu nawet nie marzyliśmy o bezpośrednim pociągu do Chorwacji. Ale jeśli to ma być symbol integracji europejskiej, to niestety chyba tylko tego, że jesteśmy razem na mapie.

Bo gdyby Unia Europejska miała rzeczywiście wspólną kolej, to jadąc z Warszawy do Rijeki, nie trzeba by było zmieniać lokomotywy, dostosowywać napięcia, kombinować z dołączaniem wagonów ani tłumaczyć się na granicy.

Chcieć i nie móc

200 lat. Tyle mniej więcej dzieli nas od chwili, gdy pierwszy parowóz w Europie przeciągnął za sobą wagon na żelaznych szynach. 200 lat rozwoju, postępu technicznego, rzekomej integracji i miliardów euro wtłoczonych w beton, podkłady i elektryfikację. I w tym wszystkim – oto my. W XXI w. W sercu zjednoczonej Europy, która nie potrafi zbudować wspólnej siatki połączeń kolejowych między swoimi stolicami.

Z Warszawy do Berlina – najkrócej 4 godz. i 54 min. A często bliżej 5,5 godz. Odległość? Niespełna 520 km. Średnia prędkość? Jak na XXI w. śmieszna. A nie jest to trasa przez Alpy, z przystankiem na oglądanie kozic. To środkowa Europa. Płaska. Zelektryfikowana. I przeciążona pustymi deklaracjami o ekologicznym transporcie.

Z Warszawy do Pragi – około dziewięciu godzin. Najszybciej: 7 godz. i 57 min. Teoretycznie to tylko 510 km. Praktycznie – więcej niż potrzeba, by polecieć na Islandię i wrócić. I tak, trzeba się cieszyć, że w ogóle jest jakakolwiek trasa.

Wiedeń? Piękne miasto, do którego z Warszawy jedzie się 7 godz. i 40 min. Jeśli masz szczęście. Jeśli nie – może i ponad 10. A wszystko przy trasie długości 552 km. To tyle, ile między Madrytem a Barceloną. Tam pociąg dużych prędkości pokonuje to w 2,5 godz.

Bo nie, nie jest tak, że ta kolej europejska nie istnieje. Ona istnieje, ale jakby osobno. Polska ma swoje napięcie – 3 kV prądu stałego. Austria i Czechy swoje – 15 kV prądu zmiennego. Słowenia – znów inaczej. Chorwacja – inaczej. Zmiana lokomotywy? Standard. Ujednolicona sieć trakcyjna i sygnalizacyjna? Legenda.

A przecież technologia jest. W Chinach pociągi serii CR400AF – Fuxing – w regularnej eksploatacji osiągają 350 km/h. W testach – ponad 400. Chiński Maglev w Szanghaju potrafi jechać 431 km/h. A wszystko to nie w laboratorium, tylko w życiu codziennym. Tymczasem Europa z dumą pokazuje Frecciarossę 1000, która może i wyciąga 360 km/h – ale tylko u siebie, we Włoszech, przy dobrym wietrze i modlitwie w intencji trakcji.

I teraz wyobraźmy sobie, co by było, gdyby takimi pociągami naprawdę można było jeździć po całej Europie. Gdyby linie Warszawa–Paryż, Berlin––Rzym, Bruksela–Budapeszt istniały nie tylko na infografikach z konkursów unijnych, ale naprawdę.

Warszawa–Paryż: 1600 km. Przy 350 km/h – 4 godz. i 35 min. Przy 400 km/h – 4 godz. Przy 450 km/h – 3 godz. i 33 min. Bez przystanków, bez przesiadek. Warszawa–Berlin? 1,5 godz. Warszawa––Wiedeń? 1 godz. i 34 min. Warszawa–Amsterdam? 3,5 godz. Z Madrytu do Warszawy? Osiem. Dałoby się, gdyby chcieć.

Zielony dowcip

Tyle że Europa nie chce. A przynajmniej nie razem. Linie szybkich kolei powstają – ale głównie narodowe. Francuzi budują TGV – do granicy. Hiszpanie – AVE do Pirenejów. Niemcy – ICE do Renu. Ale kiedy trzeba przeciągnąć tor do sąsiada, zapada cisza. Bo trzeba uzgodnić napięcie, system bezpieczeństwa, rozstaw szyn, harmonogram inwestycji, a przede wszystkim – kto komu będzie wjeżdżał do ogródka.

Bo się boją. Może nie zamachów, nie napływu migrantów, nie eurofobii. Ale boją się... tanich pociągów. Czech właśnie wjechał z RegioJetem do Polski i pokazał, że z Warszawy do Krakowa można dojechać za 59 zł, a nie za 180 jak w Pendolino? Co, jeśli Włoch puściłby przez Czechy i Austrię swoje szybkie składy z espresso i obsługą na poziomie? Co, jeśli niemiecki ICE zacząłby odbierać pasażerów narodowym monopolom?

Może właśnie dlatego nic się nie dzieje. Może dlatego europejskie koleje „transgraniczne" są bardziej symboliczne niż realne. Może dlatego pociąg z Berlina do Warszawy jedzie tak długo.

A tymczasem mówimy o „zielonym ładzie", o „klimacie", o „zrównoważonym transporcie". Krzyczymy: „Zrezygnuj z samolotu, jedź pociągiem!". Tylko że nie da się jechać pociągiem, jeśli trzeba zmieniać lokomotywy, trakcje, rozkłady, narodowe pozwolenia i nadwyrężać cierpliwość.

Nie mówiąc już o wojsku. Załóżmy, że trzeba byłoby przerzucić jednostki wojskowe z zachodniej Europy na wschodnią flankę. Przez Niemcy, Austrię, Czechy, Polskę. W teorii – przecież jesteśmy w jednej Unii i nawet w tym samym sojuszu. W praktyce – zmiana lokomotywy co 400 km, kontrola systemów bezpieczeństwa, logistyka w trybie: „niech się uda". Łączny czas takiego transferu? Nawet 45 dni. Tyle, ile wiele lat temu Hitlerowi zajęło zajęcie Francji.

I może właśnie to jest największy europejski żart: że przez dwa wieki nie udało się ustalić jednego systemu trakcyjnego. Że po tylu dekadach wspólnoty – jedna lokomotywa wciąż nie może przejechać przez cały kontynent.

Że Berlin, Praga, Wiedeń, Bruksela, Paryż są nadal jak planety w osobnych galaktykach. Że zamiast sieci – mamy pajęczynę. A w środku niej – pasażera z walizką, który naprawdę chciał być ekologiczny, ale właśnie dzwoni po taksówkę na lotnisko.

Europa jest unią. Ale nie na torach. Bo na torach każdy sobie. Pod napięciem, z własnym rozkładem, z własną lokomotywą. I z własną taryfą – trzy razy droższą niż ta czeska.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl 8f853d41ab

Ludzie zbędni

Panie Jaruga: eksterminizm albo postkapitalizm – to jest dylemat naszych czasów

W „NIE” 47/2025 ukazał się bogaty w formie, lecz ubogi w treści artykuł o znikomości współczesnej lewicy w Polsce, zatytułowany „Komunizm 2.0”, pióra Roberta Jarugi. Dzięki prześmiewczej poetyce Autorowi udało się zamaskować zasadniczą słabość dziennikarskiej roboty: brak rozróżnienia na potoczny ogląd rzeczywistości i jej ujęcie w perspektywie, którą stosowali lewicowi krytycy niemiłościwie panującego kapitalizmu.

Wzrost gospodarczy, który jest konieczny dla jego trwania, zabija planetę. Rodzi także miliony ludzi zbędnych. Takie artykuły nie pomagają im w zrozumieniu swojej sytuacji.

W krainie Jarząbków klasy nie obumarły

Trener drugiej klasy Wacław Jarząbek z filmu „Miś” stał się symbolem polskiej „społeczno-moralnej ameby” – jak Izabela Szolc określiła typowego polskiego obywatela. Nie ma tożsamości klasowej, wszystko zna ze słyszenia, czyta najwyżej metki z cenami, a najlepiej zna się na promocjach. To milcząca większość klas pracowniczych miast, miasteczek i wsi. To masa spadkowa po wielkoprzemysłowej klasie robotniczej, po pracownikach PGR-ów i spółdzielni rolniczych. Ich duch zamarł w kulcie JP2, w postponowaniu dorobku Polski Ludowej, którą przesłoniła Biedronka. Nie wydostał się jeszcze z powstańczej rekwizytorni i rusofobii. Ich skutecznie łowił i łowi PiS. Dzięki Jarząbkom może trwać polski kulturowy skansen i gospodarka małego misia.


górka ROZRZĄDOWA

Komunizm 2.0

Natomiast młode pokolenie jarząbków pokochało tiktokowego Sławomira. Liczą, że jego tropem trafią do jakiegoś garażowego biznesu. Nie pogardzą też losem freelancera w infotechnobiobiznesie, zwłaszcza wykorzystującym AI. Ale najprędzej trafią do jakiegoś Mordoru w kraju bądź za granicą. I tu dołączą do masy korpoludków pracujących jako biurowy proletariat ku chwale właścicieli globalnego kapitału portfelowego.

O własne klasowe interesy potrafi dobrze dbać tzw. klasa średnia. Powierza je nadwiślańskim liberałom. Od 2023 r. przewodzi im koalicja 15 października – drobnych kompradorów zachodnich korporacji, ideologicznych ochroniarzy rodzimych biedafirm, budowniczych fortu Bolanda na zlecenie amerykańskiego protektora. Szermują na okrągło hasłami: przedsiębiorczość, wolny rynek, obywatelskie społeczeństwo, tanie państwo, niskie podatki.

W sensie naukowym statystyczna kategoria tzw. klasy średniej składa się z klas specjalistów z wyższym wykształceniem i z ekspertyzą (menadżerowie, finansiści, bankowi ekonomiści, prawnicy, piarowcy itd.). To dobrze wynagradzani drużynnicy głównie zagranicznych korporacji. Teraz nawet własnymi samolotami zmierzają ku lepszej cyfrowej, elektromobilnej przyszłości z Muskiem i Thielem na czele. Do tego dochodzą pracownicy administracyjni na kierowniczych stanowiskach, stany akademickie, wojskowe itd.

Telemeledemokracja

Ciężko przychodzi im wszystkim dzielić się dochodami, które ostatecznie wypracowuje wielka armia pracowników, teraz rozsianych po całym globie, głównie w Chinach i centralnej Europie. Stać ich na prywatną ochronę zdrowia czy edukację dzieci. Nie potrzebują ZUS-u. Każdy sobie rzepę skrobie. To dezerterzy ze wspólnoty życia.

Robią, co muszą w liberalnej telemeledemokracji – głoszą kazania o wolności (konsumenta?), o podmiotowości (ograniczonej do możliwości głosowania?), o coraz większym koszyku dóbr (kosztem ogołocenia planety?). Głoszą po to, by podtrzymać trwanie status quo, w którym wszyscy mają jakiś kapitał. Tylko jedni mają w portfelu miliardowej wartości akcje, a pozostali karty debetowe i rachunki do zapłacenia, a kapitał – ludzki.

Ale wszyscy milczą o prekariacie, o rajach podatkowych, o opodatkowaniu wielkich korporacji, o zbiorczym imperializmie triady USA, UE, Japonia, o ordoliberalnych z ducha instytucjach Unii Europejskiej. Ta dba głównie o to, by rozmiary długu publicznego i deficytu budżetowego zbytnio nie szkodziły posiadaczom kapitału pieniężnego.

Np. jeśli transformacja energetyczna, to na zasadach rynkowego handlu emisjami zanieczyszczeń, ETS. Wymiana miliarda samochodów spalinowych na elektryczne oznacza w gruncie rzeczy jedynie przemieszczenie kosztów ekologicznych w inne fazy procesu produkcji; rachunek i tak zapłaci planeta. „Zielona” transformacja samochodu brunatnieje, kiedy zmierzymy koszt ekologiczny całego cyklu życiowego komponentów elektryka: wodę zużywaną przez przemysł wydobywczy, dwutlenek węgla emitowany przez transport, magazynowanie, a także zużycie energii podczas recyklingu. Wszystko po to, by pieniądz krążył w gospodarce. Bo kapitalista, żeby zarobić, musi najpierw zainwestować. Oto cała tajemnica „ekoterroryzmu”.

Lewica była zawsze obrończynią interesów klas pracowniczych, zwolenniczką wspólnoty życia opartej na dobrze zorganizowanej pracy społecznej, na likwidacji nierówności między regionami świata. Dlaczego przerzuciła się na wojny kulturowe?

Światło neoliberalnej ekonomii oślepiło najpierw François Mitterranda w 1993 r. Lewica nawróciła się na taczeryzm. Wcześniej niemiecka socjaldemokracja w 1959 r. uznała wyższość gospodarki rynkowej. Ogłosiła nowy program: „konkurencji tyle, ile możliwe, planowania tyle, ile konieczne”. Zagubiła historyczną busolę. Natomiast problemy pozostały.

Nowy interwencjonizm

Jak zastąpić np. podatki od konsumpcji, VAT – sprawiedliwymi podatkami dochodowymi i majątkowymi? Przecież wszyscy ci, którzy „dają ludziom pracę” – tak błogosławieni przez dyżurnych medialnych ekonomistów – korzystają z dorobku wynalazców, z darów przyrody, ze znojnej pracy innych. I za to muszą zapłacić! Jak nie, to może niech się sprawdzą gdzieś na bezludnej wyspie na wielkim oceanie! I wtedy przekonają się, że ich osobiste działania – inicjatywa, pomysłowość, przedsiębiorczość – odpowiadają za 10 proc. ich sukcesu.

Zamulenie mózgu Jarząbka antypodatkową fobią i odrazą do państwa „złodziei i darmozjadów” to propagandowe triki nadwiślańskich liberałów godne księgi Guinnessa. Pustoszą one także głowy dziennikarzy, felietonistów, nawet pracowników budżetówki. Oni też potrafią się bać potwora Katastra.

To potwierdza tezę, że w aparaturze pojęciowej Marksa zabrakło kategorii świadomości potocznej. A to ona przecież kieruje bezpośrednio decyzjami Jarząbków. Czy też, jak mówi poeta: miejscowej idiotki i tutejszego kretyna.

Jakościowa przebudowa systemu podatkowego to – w języku nauk społecznych – walka między kapitałem i pracą o podział nadwyżki wytworzonej w procesie produkcji. A więc z udziałem techniki, przyrody i pracy.

Technikę może sfinansować kapitał przedsiębiorcy, ale wynalazki powstają teraz głównie w sektorze publicznym albo dzięki publicznym nakładom na prace badawczo-rozwojowe. Dlatego społeczeństwo powinno mieć odpowiedni udział w zysku powstającym dzięki zastosowaniu innowacji. Samych wynalazców zaś wystarczy wynagradzać odpowiednim honorarium.

Taczeryzm doprowadził do atrofii wpływów pracowników na podział dochodów w firmie. Coraz mniej pracowników zrzeszonych jest w związki zawodowe – poza Skandynawią. W ten sposób konkurencja na niskie płace w erze nieskrępowanego przepływu kapitału doprowadziła do ogromnych nierówności społecznych, także w ojczyźnie wolnej przedsiębiorczości. Jej ofiary zagłosowały na Trumpa jako pogromcę migrantów odbierających im pracę i dobrobyt.

Młode pokolenia sztukę życia poznają poprzez internetowy coaching. Będą czekać na nowy wspaniały świat: podróży w kosmos, myślenia przy turbowspomaganiu sztucznej inteligencji, bujania w metarzeczywistości… W ten sposób wolność jest zastępowana przez systemowy przymus wyścigu szczurów.

Już dawno temu angielski krytyczny liberał John Gray zauważył, że istnieje konflikt między demokracją a rynkiem bez granic. A to wskutek polaryzacji dochodów i majątków, a także faktu, że decydujący głos w sprawie zakresu prywatności, posługiwania się biotechnologiami, sztuczną inteligencją należy do technoproroków z Doliny Krzemowej. Kto ich wybrał?

Własną drogą

Lewicę czeka generalny remont „supermarketu usług publicznych”. Stworzyli go nadwiślańscy liberałowie na urynkowieniu, komercjalizacji i częściowej prywatyzacji sektora dóbr wspólnych. Coraz więcej usług – zdrowie, edukacja, transport zbiorowy – stawało się dobrami indywidualnymi, a nie publicznymi.

Bezpańska jest wciąż idea socjalno-demokratycznej IV RP. Ci, którzy mogliby zainteresować się budową takiej Rzeczypospolitej, dziś zajmują się głównie inflacją i wzrostem cen energii. Ale dopóki warunki bytowe są znośne, brak bodźca do buntu, do wspierania radykalnych działań, zwanych teraz populizmem.

Dlatego tak trudno dotrzeć do potencjalnych „interesariuszy” i sprzymierzeńców. To ludzie pracy najemnej w budżetówce, w biurach, w strefach specjalnych, w wyciskarniach potu Bezosa. Dlatego lewica musi iść nie trzecią, lecz własną drogą.

Teraz idzie z Czarzastym, Gawkowskim et consortes, choć niewielu za nimi i nic przed nimi. Musi się konfrontować z nadwiślańskimi liberałami. Słucha głównie speców od min, póz, haseł, więc usłyszy tylko podpowiedź, jak zdobyć głos wyborcy. Ale po co?

Agenda kolejnej generacji praw wolnościowych jest ważna. Ale czy nie dlatego, że pozwala nie wchodzić w paradę nadwiślańskim liberałom i biznesowi? A może wystarczy zmienić azymut o 90 stopni z zachodu na północ, zwrócić wzrok ku Skandynawii, zwłaszcza Finlandii?

Może w końcu i w Polsce, zamiast narzekania na populizm, rozpocznie się poważna debata nad nowymi drogami od kapitalizmu?

Eksterminizm, który przywołuję na wstępie tej polemiki – to najmroczniejszy z możliwych wariantów. Termin zaczerpnięty z książki Petera Frase „Cztery przyszłości świata. Wizje świata po kapitalizmie” (PWN, 2018) opisuje świat, w którym obecna hierarchia społeczna, oparta na uprzywilejowaniu najbogatszych, zderzy się z radykalnym niedoborem zasobów i energii, do jakiego prowadzi dzisiejszy rabunek planety. Efektem będzie społeczeństwo, w którym elity dojdą do wniosku, że masy są im zbędne – zarówno jako siła robocza, jak i konsumenci – a przy tym stanowią fizyczne niebezpieczeństwo. Co może się skończyć – pisze Frase – „ostatecznym rozwiązaniem: ludobójczą wojną bogatych przeciwko biednym”.

Alternatywą jest postkapitalizm. Artykuł Jarugi niewiele pomoże w jej zrozumieniu.

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Nasz dumny podwodny arsenał – w komplecie, czyli w liczbie sztuk jeden – ponownie odmówił współpracy z rzeczywistością. ORP Orzeł, jedyny okręt podwodny, jaki mamy, nie dopłynął na obchody Święta Marynarki Wojennej w Świnoujściu. Całe szczęście, że nie dostał zadania zatopienia wrogiego lotniskowca. Padły silniki spalinowe, które Stocznia Wojenna już raz bohatersko naprawiła. Jednostka zawróciła więc do Gdyni, gdzie czeka ją kolejna runda napraw gwarancyjnych. ORP Orzeł od 2021 r. praktycznie nie wypływa z doków. Nie pomyślcie sobie, że nasza marynarka wojenna straciła zdolność bojową. Jakby ojczyzna wzywała, to ruszy choćby na wiosłach i żaglach.

▮ Szwedzi, którzy mają marynarkę podwodną czterokrotnie potężniejszą od naszej (proszę to sobie spokojnie przeliczyć), zostali wybrani jako dostawca trzech nowych okrętów podwodnych dla polskiej Marynarki Wojennej w programie Orka. Najlepszą ofertą okazały się jednostki A26 Blekinge, projektowane specjalnie na Bałtyk. Problem w tym, że Szwedzi sami nie zwodowali jeszcze ani jednego A26. Pierwszy miał wejść do służby w 2022 r. Potem datę przesunięto na 2024, potem na 2027, a dziś mówią o 2028. Ot, skromne sześć lat poślizgu. Dla Polski oznacza to, że nasz pierwszy szwedzki okręt podwodny realistycznie spłynie dopiero około 2033 r. Czyli Ruscy muszą jeszcze trochę poczekać z atakiem na Gdańsk, bo na razie będziemy się bronić głównie nadzieją i modlitwą. Szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz zapewnia, że zakup okrętów podwodnych to dla niego „sprawa honoru”. Honor, jak mawiał generał Jaruzelski, to jest dla głupich ludzi, pani ministrze Kamysz.

▮ Po pięciu latach modernizacji i wydaniu 2,5 mld zł oficjalnie otwarto największy dworzec kolejowy w Polsce – Warszawę Zachodnią. To dziś absolutny numer jeden w kraju: zatrzymuje się tu ok. 1000 pociągów dziennie. Jest naprawdę pięknie, słowo honoru. W zasadzie możecie przyjechać na Zachodni, pospacerować po dworcu i wrócić do domu, bo w miasto iść nie ma sensu – tam nic ciekawego. Inwestorem były PKP Polskie Linie Kolejowe, projekt przygotowały Torprojekt i DWAA Architekci, a generalnym wykonawcą był Budimex. Brawo dla wszystkich!

▮ W Szczecinie tramwaj zderzył się z kamienicą przy ul. Parkowej. Motorniczy był trzeźwy. Tramwaj również. Trwa dramatyczne dochodzenie w sprawie katastrofy, do której – jak wszystko wskazuje – przyczyniła się sama kamienica, bez zezwolenia wchodząc tramwajowi w tor jazdy.

▮ W Gdańsku w 2023 r. magistrat wynajął 15 owiec jako „ekologiczne kosiarki”. Przez trzy miesiące miały skubać trawę na Olszynce przy opływie Motławy – w ramach modnego „zielonego utrzymania terenów miejskich”. Koszt: 147,5 tys. zł. Przetarg „wygrała” firma z okolic Przywidza, należąca do kolegi urzędnika prowadzącego postępowanie. Dziś już urzędnik został skazany za nadużycie uprawnień, zatajenie powiązań i fałszerstwo: na rok więzienia w zawieszeniu, 3 tys. zł grzywny i trzyletni zakaz pracy przy przetargach na wypożyczanie owiec. Czyli generalnie spółka jest 144,5 tys. zł do przodu, gdański magistrat do tyłu, a owce uniewinnione.

▮ W nocy w Słupsku zamaskowany sprawca wyrwał i ukradł kaczkomat z Parku Kultury i Wypoczynku. Urządzenie, warte 4000 zł, wydawało karmę dla kaczek za monety,



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

a część zebranych pieniędzy trafiała do schroniska dla zwierząt. Właściciel urządzenia wyznaczył nagrodę za pomoc w ustaleniu złodzieja. I tak sobie myślę… kaczkomat? Komu w Polsce mógłby być potrzebny kaczkomat… no właśnie. Kto i po co kradnie automat z żarciem dla kaczek? I… hm… gdyby się tak dobrze zastanowić… jest w tym kraju jedna osoba, której… eee… no, nieważne.

▮ Najważniejszą informacją minionego tygodnia według portalu Onet było to, że jeden z pasażerów zdefektował w pociągu POLREGIO relacji Jasionka–Rzeszów. I ja muszę przyznać: też kiedyś defekowałem w POLREGIO, ale jakoś nie zyskałem takiej sławy. Być może dlatego, że popełniłem błąd początkującego – zrobiłem to w toalecie, a nie na środku wagonu, między siedzeniami, gdzie – jak się okazuje – bije dziś medialne serce kraju. Dowództwo POLREGIO potwierdziło zdarzenie i zapewniło, że załogi są szkolone do reagowania w sytuacjach kryzysowych, a bezpieczeństwo podróżnych jest priorytetem.

▮ Turka. Lubelszczyzna: 65-letni obywatel Ukrainy zabił Polaka Volkswagenem. Śledczy głowią się, czy ofiara paradowała, czy też urządziła sobie drzemkę na asfalcie. Sprawca, zatrzymany w korku, utrzymuje, że nie zauważył trupa. Cóż, widocznie jeździa w Turce to tak popularne miejsce, że jeden trup więcej nie robi różnicy.

▮ Policjanci z Legnicy znaleźli nocą wyziębionego 56-latka, który poruszał się pieszo (z Wrocławia do Głogowa – ponad 100 km). Facet wyszedł kilka dni wcześniej ze szpitala i nie miał pieniędzy na powrót, więc ruszył z buta, jak w epoce przedkolejowej. Zatrzymano go między Prochowi-

eprasa.pl 8f853d41ab

Jak daliśmy się nabrać na piękne słówka o obywatelskości

Magia lokalnej demokracji

Budżet obywatelski miał być dopalaczem demokracji, nową jakością w samorządzie, dowodem na to, że obywatel nie tylko płaci podatki, ale i współdecyduje. Miał, bo w praktyce stał się groteskowym rytuałem – do znudzenia powtarzanym, coraz mniej angażującym, coraz bardziej przeżartym cynizmem i chałturą. Przykład? Wrocław. Kolejny: Krosno. A dalej? Niemal każde większe miasto.

Dwustulatek obywatelski

Zacznijmy od stolicy Dolnego Śląska, gdzie demokracja partycypacyjna osiągnęła nowy poziom absurdu. Tegoroczna edycja Wrocławskiego Budżetu Obywatelskiego przyniosła 21 zwycięskich projektów, głosowało 60,4 tys. mieszkańców. To najniższy wynik od lat – dla porównania: w 2020 r. głosujących było ponad 95 tys. Ale przecież nie chodzi o liczby, tylko o jakość, prawda? No więc przyjrzyjmy się tej jakości.

Okazuje się, że jeden adres IP wytworzył aż 320 głosów. To musiała być wyjątkowo demokratyczna rodzina. Do tego nadzwyczaj żywotna – głos oddali nawet stulatkowie, a rekordzistą okazał się mieszkaniec w wieku 200 lat. Radni informowali, że głosowali także 142-latkowie. Zresztą po raz kolejny: w poprzednich edycjach również pojawiały się zarzuty o użycie cudzych PESEL-i, podejrzenia o automatyczne oddawanie głosów, a teraz doszło do formalnego zawiadomienia do prokuratury.

Co na to urząd? Uruchomił społeczne konsultacje. Bo jakże by inaczej. Kiedy traci się kontrolę nad realnym procesem, pozostaje zaprosić obywateli na spotkanie w Strefie Partycypacji „Odlot". Nazwa adekwatna. Głosowanie zamienia się w farsę. Mieszkańcy głosują, ktoś liczy, potem ktoś znowu sprawdza, czy głosy oddali ludzie czy duchy, i tak w kółko.

W Krośnie klimat podobny. Pieniądze? 2,7 mln zł do rozdania. I znów: jeden adres IP, setki głosów, użyte cudze dane, miasto informowane o problemach jeszcze w trakcie głosowania. Część głosów próbowano oddać za ludzi, którzy już głosowali lub próbowali.

Tymczasem prezydent Krosna zamiast zareagować jak trzeba – czyli unieważnić głosowanie – wykonał piruet proceduralny. Zmienił harmonogram. Po fakcie. Wygumkował datę głosowania z dokumentów i wpisał nową. Odtąd wszystko, co się działo między 25 października a 17 listopada 2024 r., miało się jakby nie wydarzyć. Nie było głosowania, nie było fałszerstw, nie było problemu.

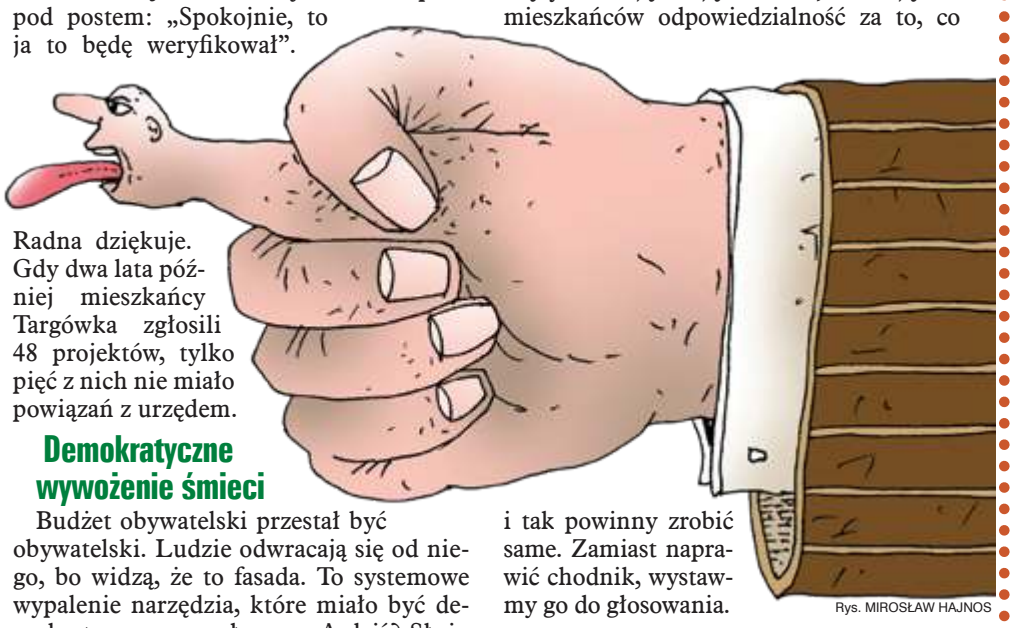
A mieszkańcy? Tych, którzy głosowali zgodnie z regulaminem, po prostu wymazano. Ich głos już był – więc drugi raz głosować nie mogli. Ale skoro pierwsze głosowanie oficjalnie nie istniało, to jak ich głos miałby się liczyć?

Budżet obywatelski to już nie narzędzie zmiany, ale narzędzie PR-u. Liczy się, by się odbyło, nie jak się odbyło. Uczestnicy mogą być martwi, procedury dziurawe, a wynik niepewny – byleby raport się zgadzał i na stronie miasta pojawił się tekst o „aktywnym włączeniu mieszkańców w decydowanie o mieście".

W Warszawie też nie brakowało kuriozów. Dziennikarze „Portalu Warszawskiego" oddali głosy jako Maria Konopnicka i Bolesław Prus.

W Nowym Sączu w 2021 r. ogłoszono wyniki głosowania, by dwa dni później je zmienić. Jeden z przegranych projektów nagle „odnalazł" prawie tysiąc głosów i zyskał prawo do realizacji. Jak to się stało? Cóż, magia demokracji lokalnej.

Ale to jeszcze nic. Na warszawskim Targówku trzy radne zgłosiły swój projekt i publicznie pochwaliły się tym na Facebooku. Jeden z urzędników odpisał pod postem: „Spokojnie, to ja to będę weryfikował".



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Radna dziękuje. Gdy dwa lata później mieszkańcy Targówka zgłosili 48 projektów, tylko pięć z nich nie miało powiązań z urzędem.

Demokratyczne wywożenie śmieci

Budżet obywatelski przestał być obywatelski. Ludzie odwracają się od niego, bo widzą, że to fasada. To systemowe wypalenie narzędzia, które miało być demokratycznym przełomem. A dziś? Służy głównie do tego, by samorząd mógł się pochwalić, że „liczy się ze zdaniem mieszkańców". Nawet jeśli ci mieszkańcy nie żyją, nie istnieją lub głosowali, ale nikt ich nie policzył.

Weźmy chociażby Puławy. W budżecie obywatelskim na 2026 r. oddano tam niecałe trzy tysiące ważnych głosów. Miasto zamieszkuje ok. 45 tys. ludzi. Frekwencja – nieco ponad 6 proc. I to po wielotygodniowej kampanii informacyjnej z plakatami, spotami, entuzjazmem urzędników. Ostatecznie wybrano osiem projektów spośród 38 finałowych. Najwięcej kasy – 175 tys. zł – trafi na ściankę wspinaczkową. Bo przecież w Puławach nie ma już ważniejszych potrzeb. Kolejne miejsca na liście zdobyły m.in. podświetlany napis „Puławy", wybieg dla psów, wyrównanie alejek cmentarnych czy bezpieczna aleja integracji. Lista rzeczy, które powinny być realizowane w normalnym trybie przez odpowiednie jednostki miejskie. Urząd miasta przestał widzieć, że dziura w alejce to jego sprawa, nie mieszkańców? Co będzie następne? Głosowanie nad tym, czy należy wywieźć śmiecie?

Łódź z kolei staje na głowie, by w budżecie obywatelskim zawrzeć projekty o randze absolutnej, jak usunięcie jemioły z 38 drzew za 38 tys. zł. Albo przycięcie 40 drzew za prawie 20 tys. Gdyby ktoś miał wątpliwości: nie, to nie jest scenariusz kabaretu, tylko realna lista zadań do przegłosowania przez obywateli. Przecież od tego mamy miejskie służby, żeby jeździły, cięły, sprzątały. Czy naprawdę trzeba do tego demokratycznego błogosławieństwa?

Bochnia również postanowiła rozbłysnąć. Ponad 1,4 mln zł do rozdysponowania, 1808 osób zagłosowało. Można by rzec – pełna mobilizacja. Spośród 31 projektów przeszło 20. Remonty schodów, alejki, parkingi, balustrady.

Oto więc prawdziwa istota budżetu obywatelskiego – parawan, za którym samorządy chowają swoją bierność, zrzucając na mieszkańców odpowiedzialność za to, co i tak powinny zrobić same. Zamiast naprawić chodnik, wystawmy go do głosowania.

Udawanie sprawczości

Zaczęło się to w Porto Alegre, mieście w Brazylii, gdzie pod koniec lat 80. ubiegłego wieku – w kraju z tak silnym obywatelskim etosem, że nawet prezydenta wybierali przez zamach – wymyślono coś, co nazwano *participatory budgeting*. Idea była prosta: mieszkańcy mieli współdecydować o części miejskich wydatków. Naiwność? A jakże. Ale ładna.

Nawet ONZ zachwyciła się brazylijskim eksperymentem. No więc się zaczęło.

Na fali entuzjazmu dla „oddolnej decyzyjności" pomysł rozlał się po świecie jak budżet na promocję miasta. Francja, Niemcy, Kanada – wszyscy chcieli być jak Porto Alegre. Nawet Szwedzi – na chwilę, zanim nie zauważyli, że to kompletna strata czasu.

A potem przyszła Polska. Na początku XXI w. w kilku miastach pojawiły się próby aktywizacji mieszkańców. Najczęściej w postaci budżetów partycypacyjnych. Przyszło PiS i zrobiło z tego prawo. Ustawa z 2018 r. zobowiązała samorządy do przeznaczania co najmniej 0,5 proc. budżetu na budżet obywatelski. Samorządy poczuły ulgę. Zrozumiały, że oto nie muszą już tłumaczyć, czemu robią ławki tylko tam, gdzie siedzi szwagier radnego. Wystarczy powiedzieć: „Taki był wybór obywateli".

Każdy mógł zgłosić projekt. Potem urzędnicy je skrupulatnie weryfikowali. Przechodziły te, które i tak były zaplanowane, ale teraz można było przykleić do nich łatkę „inicjatywa obywatelska".

No i w końcu głosowanie. Wielka fiesta demokracji cyfrowej. Klikanie, lajki, PESEL-e, adresy IP. Ale hola, hola, mamy już nowe metody! Naukowcy z UW wymyślili „metodę równych udziałów", która rozdziela pieniądze proporcjonalnie do odsetka głosujących na każdy projekt. Ale jak pokazały testy, większość ludzi nie rozumie, o co chodzi. Bo co to za głosowanie, w którym wygrywają nie ci, którzy mają najwięcej głosów, tylko ci, którzy mają „proporcjonalne poparcie"? Zresztą urzędnicy też wolą stary system, bo 90 proc. środków i tak idzie tam, dokąd chcieli. Radni mogą odhaczyć zobowiązania wyborcze, bo ich projekt na „boisko szkolne" właśnie wygrał. A mieszkańcy? Oni zaczynają jak Szwedzi, dochodzić do wniosku, że głosowanie to kit, a od decydowania są radni i urzędnicy, którzy właśnie za to biorą pieniądze.

TADEUSZ JASIŃSKI

---

cami a Lubinem przy -7 st. C w ubraniu typu „wiosna w Biedronce". Policjanci ogrzali go w radiowozie i przekazali ratownikom medycznym – prawdopodobnie z powrotem we Wrocławiu. I tak to wygląda: człowiek chce wrócić do domu, ale szpital odsyła go w świat, policja zawozi go z powrotem do szpitala… Tą metodą facet nigdy do chałupy nie trafi. Syzyfowa droga, tylko kamień się zmienia na karetkę.

▮ Zakopane w nerwach! Polskie Koleje Linowe, te od Kasprowego i Gubałówki, znowu na sprzedaż. Po repolonizacji przez Polski Fundusz Rozwoju (2018), teraz mają trafić na giełdę. Historia PKL to telenowela: Hitlerowcy, Goralenvolk, upaństwowienie, prywatyzacja, repolonizacja – więcej zwrotów akcji niż w „Klanie". Jedno jest pewne: koleje wiszą, a forsa znika. Górale pamiętają śnieg z zeszłego roku, ale gdzie się podziały pieniądze z kolejnych zmian właścicielskich kolei linowych, to już zagadka.

▮ Polska w grudniu 2025 r. zatriumfuje w Indiach! UNESCO, ulegając urokowi naszych plecionek, wpisze polskie tradycje koszykarskie na Listę Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego. Wiklina, słoma, korzeń i sznurek – oto materiały, które wyniosły nas na wyżyny światowej kultury. Możemy być dumni, że w kraju, gdzie innowacja raczkuje, a przemysł w likwidacji, potrafimy robić wiklinowe koszyki, aż świat rzuca się nam pod nogi. Brawo my!

▮ Na pewno nie słyszeliście o wielkiej imprezie sportowej, na której Polacy zdobyli 19 medali (pięć srebrnych i 14 brązowych). Spokojnie – uczestnicy tej imprezy też o niej nie słyszeli. W Tokio zakończyły się bowiem XXV Letnie Igrzyska Głuchych, na które wystawiliśmy 94 niesłyszących zawodników. Wiceminister od sportu Ireneusz Nalazek oczywiście pogratulował całej reprezentacji. Niejasności są jednak dwojakiego rodzaju: po pierwsze, jak on to zrobił, skoro media nie wspominają o żadnych migach? Po drugie, dlaczego głusi lekkoatleci nie mogą startować w normalnych igrzyskach olimpijskich? Wszak niedosłuch nie zmniejsza ani pojemności płuc, ani długości mięśni, ani aerodynamiki w biegu, ani wyporności w pływaniu. Tę ostatnią kwestię fachowiec wyjaśnił nam jasno: w większości dyscyplin głusi mają dokładnie takie same warunki fizyczne jak słyszący. Jedyna realna różnica to brak reakcji na sygnał dźwiękowy przy starcie – dlatego używa się światła albo wibracji. I to dałoby się wprowadzić w normalnych igrzyskach bez najmniejszego problemu, gdyby ktoś naprawdę chciał.

RJ

PS Wieści spłynęły do nas z terenu jak plotka o rekordowym szczupaku – niby ktoś widział, niby złowił, ale każdy wędkarz wie, że takie rzeczy trzeba brać z przymrużeniem oka. Jeśli więc okaże się, że to lipień, a nie sum prawdy, prosimy nie straszyć nas pozwami. Winowajcy szukajcie gdzie indziej, gdzieś hen, za trzcinami i poza naszą wodą, bo tam ta ryba kłamstwa musiała się wytrzeć.

Luksus darmowej zupy

Gdzie mieszkają bezdomni?

Katowice ogłosiły, że kończą z „turystyką bezdomności". Od nowego roku ciepły posiłek dostanie tylko ten, kto przedstawi decyzję administracyjną, przejdzie wywiad środowiskowy i – najlepiej – okaże lokalny meldunek. Przepustka do zupy niczym w peerelowskiej stołówce zakładowej, gdzie najpierw legitymacja, potem widelec. Z tą różnicą, że w stołówce nikt cię nie wyrzucał za brak trzeźwości.

Władze Katowic mówią, że bezdomni ludzie z całego regionu przyjeżdżają po darmowy obiad, a potem wracają do swoich gmin. Jakbyśmy rozmawiali o Januszach kierunków turystycznych, którzy zwiedzają jadłodajnie. To absurd, ale władza lubi sobie upraszczać świat – zamiast przyznać, że bezdomność jest efektem systemowych porażek, wygodniej udawać, że problemem jest darmowa zupka.

Cała konstrukcja opiera się na kulcie meldunku. Polska biurokracja kocha meldunek bardziej niż własną godność. Dla niej człowiek może trzy razy stracić rodzinę, dach, pracę i zdrowie, ale jeśli w papierach ma wpisane „Będzin", to ma wracać do Będzina po decyzję jak po kartę biblioteczną. Ktoś, kto od lat żyje w Katowicach, śpi tu pod mostem, żebrze tu, tu choruje i tu umiera, dla systemu jest przybyszem bez uprawnień. I co z tego, że eksperci od lat powtarzają: pomoc powinna przysługiwać tam, gdzie ktoś faktycznie mieszka – a właściwie: nie mieszka. W Katowicach uznano, że o wiele łatwiej mianować tę rzeczywistość „turystyką", niż ją zrozumieć.

W pakiecie idzie kryterium trzeźwości, bo przecież „pijący zaburzają porządek publiczny". To kolejna klasyka: jeśli jesteś na dnie, to wymaga się od ciebie więcej niż od kogokolwiek innego. System, który nie daje ci szansy, jednocześnie oczekuje wzorowej formy. Nietrzeźwy bezdomny to największy wróg ładu publicznego. Pijany radny – potknięcie. Pijany milioner – ekscentryk. Pijany bezdomny – powód do odmowy obiadu.

Nasza konstytucja dość ogólnikowo wspomina, że władza publiczna ma przeciwdziałać bezdomności. Zrzucono to w dużej mierze na samorządy, gdzie jednak rządzą głowy wielkości powiatowej i takichże horyzontów. Sensowne i – co ważne – skuteczne programy wychodzenia z bezdomności, jak choćby słynny program Najpierw Mieszkanie, powstają tylko dlatego, że finansuje je Unia Europejska, matuszka nasza. Nasi wybrańcy zaś problem zamiatają pod dywan.

Coraz częściej samorządy przechodzą na tryb „zarządzania widocznością": nieważne, co się z człowiekiem stanie, byle nie było go na ławce w centrum. Dlatego władze Katowic nie mówią o programach mieszkań treningowych, nie mówią o zatrudnieniu wspieranym, nie mówią o mieszkaniach jako prawie, nie przywołują Finlandii, która udowodniła, że daje się ograniczyć bezdomność, jeśli mieszkanie jest punktem startowym, nie nagrodą. Mówią o poczuciu bezpieczeństwa, porządku i czystości, czyli kodach odpowiednich dla estetyki miasta, nie dla poważnych problemów społecznych.

Całe to przedsięwzięcie ma w sobie coś z estetycznego faszyzmu. Ławka ma być pusta, chodnik czysty, a człowiek niewidoczny. Bezdomny ma zniknąć z przestrzeni publicznej, bo psuje narrację o mieście dynamicznym i nowoczesnym.

To nie przypadek, że najwięcej energii wkłada się w ograniczenia: zupy na kartę, noclegownie z regulaminem jak obóz wojskowy, meldunek jak paszport. Dawać to niespecjalnie, kontrolować – zawsze.

Ale ta logika ma też drugą stronę: nawet jeśli Katowice wygonią ludzi bez decyzji, ci ludzie nie znikną. Nie teleportują się do swoich urzędów gmin jak bohaterowie taniego sci-fi. Po prostu będą bardziej głodni, bardziej zdesperowani i bardziej narażeni na śmierć z wychłodzenia. Miasto stanie się „czystsze" tylko w oczach tych, którzy nie patrzą.

Jeśli gdziekolwiek zaczyna się cywilizacja, to w miejscu, gdzie człowiek dostaje chociaż miskę gorącej zupy bez pytań o meldunek. To absolutne minimum empatii, nie makroekonomia. A tymczasem Katowice urządzają biurokratyczną selekcję naturalną i jeszcze mówią o niej z dumą.

Bezdomny nie jest patologią. Jest skutkiem liberalnej polityki w mieszkalnictwie, lat zaniedbań, braku mieszkań komunalnych, braku psychiatrii środowiskowej, braku odwyków, braku pracy, braku systemowych rozwiązań. I żadne decyzje administracyjne nie zasłonią faktu, że państwo i samorządy od dekad lecą na farcie, czyli pijarze i środkach europejskich.

Można zamknąć drzwi jadłodajni. Ale nie można zamknąć oczu na to, że jedyną realną „turystyką" w tej historii jest odjazd od odpowiedzialności uprawiany przez władze Katowic.

DAMIAN DUSZCZENKO

eprasa.pl 8f853d41ab

Czego ci nie mówią o pieniądzach

Odcinek 5



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Mit, który rozbrajałam w czwartej (poprzedniej) części tej opowieści o finansach, że deficyt budżetowy to dowód nadmiernych wydatków państwa, jest jednym z najbardziej szkodliwych i najbardziej utrwalonych w świadomości społecznej dogmatów ekonomicznej propagandy neoliberalnego kapitalizmu. A dowodem, że to mit, jest nie tylko zdrowy rozsądek, ale też twarde dane, na które poniżej się powołam.

Problem polega na tym, że przez dekady neoliberalne think tanki i ortodoksyjne uczelnie wbijały ludziom do głowy, że deficyt to coś jak nieopłacony rachunek za prąd: im większy, tym bliżej do odcięcia energii. Tymczasem rzeczywistość gospodarki działa inaczej. Bo przecież państwa mające suwerenność i suwerenny pieniądz (jakim teoretycznie jest polski złoty) mogą same stwarzać swoje pieniądze. Takie państwo może mieć deficyt i mieć stabilne ceny. Może mieć ono także gigantyczny deficyt i niską inflację, co niżej wykażę na faktach. I odwrotnie: może mieć niewielki deficyt, a inflacja wystrzeli, bo zawaliła się podaż. Innymi słowy: to nie wielkość deficytu świadczy o nadmiarze wydatków. O nadmiarze wydatków państwa świadczyć może tylko inflacja. Kropka.

Przypomnij sobie rok 2021. Czy wtedy państwa Zachodu toną w wydatkach, bo dzięki nim skutecznie rozwiązują problemy społeczne? Nie, a inflacja i tak skacze. Dlaczego? Bo zawaliła się podaż. Inflację wywołały lockdowny, zerwanie łańcuchów dostaw, polityka zero COVID w Chinach, braki chipów i innych dostaw oraz (co ważne) efekt „byczego bicza", czyli gigantyczne zakupy zapasów przez firmy sięgające nawet 10 proc. PKB, które podnoszą ceny ich produktów. Brak towarów na rynku spotykał się z popytem, co dawało okazję firmom do podnoszenia cen, a chomikowanie zapasów na wszelki wypadek powiększało ich koszty i ceny. Niezależnie od tego czy państwo miało wtedy deficyt, ceny rosły i tak, bo towarów brakowało, a firmy płaciły coraz więcej za półprodukty, energię i transport.

Jeśli deficyt, czyli nadmierne wydatki państwa, automatycznie powodowałyby inflację, to jak wytłumaczyć poniższe fakty:

– gdyby inflację pocovidową napędzał tylko deficyt, wszystkie kraje po pandemii miałyby podobne tempo wzrostu cen, tymczasem inflacja różniła się dramatycznie – bo zależała od struktury gospodarki, zależności od dostaw energii, siły negocjacyjnej przedsiębiorstw i długości łańcuchów dostaw, a nie od tego, czy rząd wydał o 5 czy 6 proc. PKB więcej;

– spójrzmy na sytuację USA po 2008 r.: gigantyczny deficyt, programy stymulacyjne i rekordowe luzowanie ilościowe wyniosły łącznie około 7,8 bln dol., a wpompowane w gospodarkę tylko w 2009 r. kwoty stanowiły jedną czwartą całej amerykańskiej gospodarki z początku kryzysu. A inflacja? Ledwo pełzała. A potem jeszcze jedna ciekawostka: w szczycie pandemii (2020–2021) wyemitowane ratunkowo kwoty skoczyły jeszcze wyżej – w okolice 35–36 proc. PKB i nie spowodowały skoku inflacji;

– strefa euro 2010–2015. Wtedy nastąpiły ogromne interwencje EBC i krajowych banków centralnych. A inflacja w tym czasie? Okazała się zbyt niska, grożąca deflacją, a nie inflacją;

– Japonia od 1990 r. do dziś ma jeden z najwyższych poziomów długu publicznego w świecie. A inflacja? Trzy dekady stagnacji cen;

– dzisiejsza Polska? Deficyt szczytuje, inflacja maleje.

Skoro deficyt, jak twierdzą ekonomiczni ortodoksi, powoduje inflację, to dlaczego w tych przypadkach inflacji po prostu nie było? Odpowiedź jest prosta: bo sama wielkość deficytu nie mówi nic o inflacji. Przypomnę, że sytuacja suwerennego monetarnie państwa, które może emitować pieniądze, jest radykalnie odmienna od sytuacji firmy czy gospodarstwa domowego. Państwo jest emitentem (właścicielem) waluty, a my wszyscy tylko jej użytkownikami, deficyt budżetowy zaś to jedynie różnica między (w uproszczeniu) pobranymi podatkami a wydatkami. Jak wykazałam, nawet gdy ten deficyt jest wysoki, nie znaczy, że jest za duży.

A w latach 2021–2024 dominującym mechanizmem nie była spirala płacowo-cenowa, tylko spirala marżowa – firmy, korzystając z chaosu i niepewności, podnosiły ceny szybciej, niż rosły im koszty. Szczególnym beneficjentem tej sytuacji były banki, które (notabene) zbierały owoce wysokich stóp procentowych. Nareszcie rząd zamierza obłożyć je specjalnym podatkiem. Oby!

Także Międzynarodowy Fundusz Walutowy potwierdził, że to zyski przedsiębiorstw były największym czynnikiem inflacji w Europie, bo firmy podnosiły ceny bardziej, niż rosły koszty energii. Nie budżety państw. Nie deficyty. Zyski. To nie jest opinia – to ustalenia empiryczne.

Czyli można, nie powodując inflacji, sfinansować potrzeby zagładzanej opieki zdrowotnej albo przeznaczyć znaczące fundusze na edukację i naukę.

Nie daj się więcej wkręcić misjonarzom neoliberalnej ortodoksyjnej ekonomii w pokerowy blef, że musimy trzymać się sztywnego limitu deficytu, aby nie popaść w inflację i długi, które spłacać będą nasze dzieci. To co właściwie mówi nam deficyt? Deficyt mówi jedynie, że państwo wydaje więcej, niż ściąga podatków – to niewiele. Nie mówi natomiast:

– czy gospodarka ma nadmiar popytu,

– czy ceny rosną z braku towarów i materiałów,

– czy firmy podnoszą marże,

– jak silna jest presja pracowników (płace i zatrudnienie),

– czy sektor prywatny inwestuje.

Inflacja zaś mówi wszystko: mówi, że podaż nie nadąża za popytem (bo wojna, pandemia, brak chipów czy blokady portów) albo że podaż jest za słaba lub że firmy wykorzystują okazję do podwyżek cen. Deficyt jest księgowym wskaźnikiem. Inflacja jest realnym testem równowagi gospodarki.

Może zamiast straszyć ludzi deficytem, powinniśmy zacząć pytać, jakie realne siły stoją za ceną chleba, energii, czynszu. Bo powtarzanie, że państwowy deficyt to nadmierne wydatki, to nie prawo ekonomii. To tylko wiarygodnie brzmiący slogan. A slogany mają tę cechę, że świetnie blokują myślenie. I może właśnie dlatego tak dobrze się sprzedają.

ANNA GRODZKA

Życie w dobrobycie

● ZUS policzył i wyszło, że ponad 150 tys. firm zatrudnia więcej niż jedną osobę, ale żadnej na umowie o pracę. Oznacza to, że 151 700 podmiotów zatrudnia, ale nie wykorzystuje kodeksu pracy. Ba, Państwowa Inspekcja Pracy nawet nie wie o ich istnieniu, bo nie dostaje danych z ZUS. A skoro nie wie, to nie może kontrolować. No ale jak to – państwo nie wie, kto zatrudnia ludzi? Ano nie wie. Bo tak to państwo działa: zamiast ścigać patologie, goni króliczka. Co więcej, to nie są kioski z hot dogami ani samozatrudniony informatyk. Aż 3,2 tys. firm zgłosiło do ZUS ponad 10 osób wyłącznie na zleceniach. Z żadną nie zawarły umowy o pracę. Czyli – w świetle prawa – nie mają pracowników. Ale za to mają zyski. Bo po co składki, skoro można taniej? Tymczasem Polska, zgodnie z KPO, powinna uchwalić ustawę pozwalającą inspektorowi pracy zamienić umowę zlecenie na umowę o pracę decyzją administracyjną. Brzmi pięknie. Ale projekt już teraz zbiera negatywne uwagi od tych, którzy najgłośniej płaczą, gdy mają zapłacić za pracownika choć złotówkę więcej. A wszak propaganda od lat powtarza, że przedsiębiorcy to koło zamachowe polskiej gospodarki. W całej tej historii nie mówi się o zatrudnionych na śmieciówkach. O ludziach, którzy pracują na czyjeś marzenia o biznesie, bo sami nie mają wyboru. Gdyby jednak państwo zaczęło patrzeć na to, jak zatrudniają małe firmy, połowa z nich padłaby w tydzień. A wtedy mogłoby się okazać, że ci cudni przedsiębiorcy to nie żadni wizjonerzy, tylko goście kantujący pracownika.

● GUS ogłosił, że przeciętna pensja w Polsce dobija do 9 tys. zł. Statystyka ma to do siebie, że zniesie więcej niż choćby pracownik sklepu. Wystarczy zajrzeć do Kauflandu. Ludzie tam zatrudnieni mówią: „doszliśmy już do ściany" i chcą 1200 zł podwyżki oraz tego, żeby firma przestała traktować ich jak tanią siłę roboczą. Na co Kaufland odpowiada uprzejmie, że realizacja żądań jest niemożliwa. Związkowcy grożą strajkiem ostrzegawczym. Nawet 15 tys. ludzi z ponad 250 sklepów może wyjść z kas i półek na dwie godziny. A wtedy klienci poznają, jak wygląda prawdziwa cena tanich promocji. Do protestu chcą dołączyć pracownicy Lidla, Carrefoura i Auchana. Czyli handel ma dość. Tymczasem rządowe komunikaty zapewniają, że zarobki w Polsce zbliżają się do włoskich i hiszpańskich. I pewnie tak jest – jeśli brać pod uwagę menedżerów, prezesów, dyrektorów i tych wszystkich, którzy od lat nie widzieli paragonu w sklepie, bo zakupy robi im asystent. Banki w zeszłym roku zarobiły 42 mld zł. Zaś prezesi tych banków zarobili po 5–7 mln zł. Tyle, co cała obsada jednego sklepu przez dwa lata. A skoro zarabiają tak świetnie, to w statystykach jesteśmy prawie jak Irlandia.

● I tak w Polsce doszliśmy do momentu, w którym obrona śmieciówek stała się nową świecką tradycją. Zaszliśmy tak daleko, że przeciwko respektowaniu praw pracowniczych protestują już nie tylko przedsiębiorcy, ale też rolnicy, izby branżowe i – tu naprawdę warto usiąść – związki zawodowe. Gdyby ktoś chciał znaleźć definicję paranoi w słowniku, wystarczyłoby wkleić tam opis debaty o nowych uprawnieniach PIP. Państwo postanowiło, przynajmniej w teorii, zrobić coś, co w cywilizowanych krajach jest normą. Dać inspektorowi pracy możliwość zamiany umowy cywilnoprawnej w umowę o pracę. Decyzją administracyjną, z rygorem natychmiastowej wykonalności. Bo jeśli ktoś pracuje jak pracownik, w miejscu i czasie wyznaczonym przez szefa, wykonując zadania pod nadzorem, to znaczy, że jest pracownikiem. I nie ma w tym odkrycia Ameryki, bo takie przepisy działają w połowie Europy, a nikomu nie przyszło do głowy protestować dlatego, że trzeba zapłacić człowiekowi za pracę. Ale u nas branża rolna ostrzega, że inspektorzy pracy „doprowadzą do wzrostu kosztów uprawy, hodowli i produkcji". Rolnicza Solidarność pisze do prezydenta, że to będzie „katastrofa polskiego rolnictwa", bo tysiące umów zleceń mogą stać się etatami. Groza, że pracownik w sadzie czy u drobiarza mógłby nagle dostać coś tak nienaturalnego jak prawo do urlopu. W ocenie rolników nie ma niczego bardziej przerażającego niż osoba zbierająca jabłka, która zacznie mieć prawo do chorobowego. Związki zawodowe – te, które teoretycznie powinny bronić pracowników – też mają obiekcje. Ekspertka rynku pracy wyjaśnia, że inspektor nie powinien decydować, bo „reforma godzi w podstawowe założenie stosunku pracy". Jakby stosunkiem pracy było podpisywanie świstka zatytułowanego „zlecenie", a nie to, co dzieje się potem, gdy człowiek stoi przy taśmie albo biegnie na szóstą rano do roboty. Przedsiębiorcy również nie kryją przerażenia. Na spotkaniu w KPRM prosili o odejście od „natychmiastowej wykonalności decyzji" i tłumaczyli, że skutki powinny obowiązywać dopiero po zakończeniu całej drogi odwoławczej. Czyli najlepiej w 2037 r. albo i w 2049. Argumenty branży mięsnej są równie poruszające: budżet może zyskać „200 mln zł rocznie", ale straty mają być „wielokrotnie wyższe". Trudno im się dziwić – kiedy pracownik kosztuje tyle, ile naprawdę kosztować powinien, nad całym biznesem zapala się czerwona lampka. Jakie stanowisko ma państwo? Oficjalnie dzielne i prospołeczne. Nieoficjalnie zaś idzie mu o to, że jak ludzie wylądują na etatach, to zaczną płacić ZUS i NFZ w pełnym wymiarze. Prawa pracownicze są tu jedynie ozdobą na torcie potrzeb budżetowych.



Rys. WIDGET

● W Jastrzębskiej Spółce Węglowej skończyły się pieniądze na czarną godzinę, która zaczęła się w trzecim kwartale 2023 r. i trwa do dziś. JSW przez lata opowiadała, że radzi sobie świetnie, bo odkłada miliardy na fundusz stabilizacyjny. Ten fundusz miał wystarczyć na gorsze czasy, ale z 5,7 mld zł zostało na jesieni 100 mln. Czyli mniej więcej tyle, ile spółka wydaje na koszty pracownicze przez jeden dzień. Te zaś w JSW to temat na osobną epopeję. W 2024 r. przeciętne wynagrodzenie wyniosło 15,6 tys. zł brutto i było prawie dwa razy wyższe niż średnia krajowa. Teraz węgla nikt nie chce kupować, bo rynek węgla koksującego i koksu siadł tak mocno, jakby ktoś zgasił światło w całej branży. Przez dziewięć ostatnich kwartałów JSW straciła łącznie 11,1 mld zł. A załoga urosła do rekordowych 32 tys. osób. Sześć lat wcześniej pracowało tam niewiele ponad 27 tys. Ludzi przybywało, a chętnych na węgiel ubywało. W takiej sytuacji zarząd JSW długo udawał, że nic się nie dzieje. Najpierw mówił, że zwolnień nie będzie. Potem, że może kiedyś. A teraz, że jednak będą. Związkowcy się zgodzili pod warunkiem, że gwarancje zatrudnienia nie będą obejmować pracowników Biura Zarządu, Zakładu Wsparcia Produkcji, powierzchni nierobotniczej oraz osób z uprawnieniami emerytalnymi. Nie obejmą też tych, którzy – jak to elegancko zapisano – „regularnie destabilizują organizację pracy". Ten zapis jest tak elastyczny, że można pod niego podciągnąć wszystko od spóźnienia o pięć minut po nieprawidłowe odłożenie łopaty. Każda decyzja o zwolnieniu ma być „poprzedzona analizą z udziałem przedstawicieli stron porozumienia". Czyli związkowcy będą siedzieć obok zarządu i analizować, po czym i tak zgodzą się na wszystko, bo sytuacja spółki jest trudna, a oni przecież „działają dla dobra załogi".

● Rządowa propaganda od miesięcy przekonuje, że rynek pracy mamy stabilny i pełen uśmiechniętych pracowników, którzy przebierają w ofertach pracy jak w owocach na straganie. To kit. Bo jeśli aż 60 proc. Polaków rezygnuje ze zwolnienia lekarskiego i pracuje mimo choroby, to niehalo jest. Badania mówią, że 34 proc. z nas wykonywało obowiązki nawet wtedy, gdy byli na L4. Rok wcześniej było to 29 proc., więc sytuacja idzie w stronę jeszcze większej desperacji. A przecież zwolnienie lekarskie ma z założenia chronić zdrowie pracownika, a nie służyć do tego, żeby wykonywać „pilne sprawy zawodowe", bo to było powodem pracy mimo zwolnienia u 18 proc. ankietowanych. Kolejne 9 proc. twierdzi, że musiało „kontrolować sytuację" w firmie, a 7 proc. że tak naprawdę nie pracowało z własnej woli, tylko dlatego, że przełożony na to liczył. Oczywiście nikt tego głośno nie powie, bo w Polsce mobbing nazywa się „atmosferą intensywnej pracy". Najgorzej mają pracownicy małych i średnich firm. Tam 20 proc. ludzi pracowało na zwolnieniu, bo były „pilne tematy", 10 proc. z przyzwyczajenia, a 8 proc. na polecenie szefa. Główną przyczyną pracy podczas choroby jest nadmiar obowiązków – 27 proc. wprost powiedziało, że musiało pracować, bo nie dało się tego wszystkiego zostawić. W 21 proc. przypadków powodem był zwyczajny brak zastępstwa. 12 proc. Polaków przyznaje, że w ich miejscu pracy zwolnienia lekarskie są źle widziane. A 9 proc. pracowników pracuje mimo choroby, bo zwyczajnie boi się o robotę.

TTJ

eprasa.pl 8f853d41ab

Twoja Partia – znaczy czyja?

Niezbyt udany start nowej brytyjskiej lewicy

W Liverpoolu odbył się kongres założycielski partii Jeremy'ego Corbyna. Powiedzmy sobie szczerze: mogło pójść lepiej.

Corbyn – były lider Labour Party, wyrzucony z partii przez swojego następcę Keira Starmera (obecnie premiera Wielkiej Brytanii z aprobatą na poziomie 13 proc.) – w zakładanie nowej formacji został do pewnego stopnia wmanewrowany przez inną banitkę z LP, 31-letnią posłankę Zarę Sultanę. Na początku lipca ogłosiła ona w social mediach, że definitywnie odchodzi z partii Starmera (wcześniej była zawieszona) i razem z Corbynem zakładają nową. Corbyn ponoć nie był tym zachwycony, bo ogłoszenie nie zostało z nim uzgodnione – i ta niezbyt szczęśliwa dynamika ich relacji utrzymuje się do dzisiaj. We wrześniu – także nie uzgadniając tego z Corbynem – Sultana rozpoczęła formalne zapisy do partii oraz zbieranie składek. Corbyn zdystansował się wobec tej akcji, Sultana odpowiedziała, że jest prześladowana przez „seksistowski klub chłopaków".

W efekcie tych zadym z 800 tys. osób, które pierwotnie zarejestrowały się na stronie formacji, nazwanej roboczo Your Party – Twoja Partia – formalną deklarację członkowską wypełniło 55 tys. Procentowo niewiele – acz z drugiej strony, jak na partię, która dopiero powstaje, całkiem nieźle.

Sekciarstwo jest chroniczną chorobą, a także cechą komiczną lewicy, szczególnie znaną Brytom dzięki nieśmiertelnej scenie Monty Pythona z Ludowym Frontem Judei – toteż uniknięcie wewnątrzpartyjnego mordobicia zdawało się wyjątkowo ważne. To się nie udało.

Tym bardziej szkoda, że dyskusja nie tyczy kwestii zasadniczych – programu, celów działania, profilu politycznego partii. Jest zgoda co do tego, że ma to być partia socjalistyczna, dążąca do odbudowy państwa opiekuńczego i redystrybucji dochodu narodowego poprzez wysokie opodatkowanie najbogatszych, m.in. podatkiem katastralnym; do renacjonalizacji usług publicznych, a także kluczowych gałęzi gospodarki; do inwestowania w budownictwo socjalne; do ochrony publicznej służby zdrowia przed prywatyzacją. Jest to także partia pacyfistyczna, antyimperialistyczna, wroga zbrojeniom, kategorycznie krytyczna wobec Izraela i NATO. W sumie: jest to lewica wolna od wszystkich grzechów i zaprzaństw tzw. centrolewicy, pryncypialnie stojąca po stronie ludzi pracy przeciwko kapitałowi, nieskorumpowana przez koncept „trzeciej drogi" Blaira i Schroedera – który tak naprawdę oznaczał rezygnację z lewicowych wartości na rzecz neoliberalnych dogmatów. Drogę dla takiej lewicy w Wielkiej Brytanii toruje moralne i ideowe bankructwo rządu Labour Party pod żenującym przywództwem sir Keira.

Co poszło nie tak?

Początek wydawał się bardzo obiecujący: 2,5 tys. delegatów na konferencję zostało wylosowanych spośród zarejestrowanych członków partii. Wiem, że to brzmi dziwacznie – ale koncept losowania, zamiast wybierania, zyskuje ostatnio wielu zwolenników (do których się zaliczam). Wystarczy popatrzeć na dowolny parlament w kraju tzw. demokracji liberalnej, żeby dostrzec, jak bardzo jest niereprezentatywny – złożony z przedstawicieli elit politycznych, a często także finansowych, zaplątanych w sieci biznesowych powiązań, kompletnie oderwanych od losu zwykłych obywateli. W przypadku partii, która jeszcze nie ma struktur, wybory delegatów na kongres założycielski sprowadzałyby się do tego, kto ma więcej kumpli i głośniej krzyczy. Losowanie, przeprowadzone w dwóch turach – pierwsza spośród wszystkich, druga z puli dobranej tak, żeby uzupełnić delegatów z grup, które nie są należycie reprezentowane – wydaje się rozwiązaniem optymalnym. Zresztą także w partyjnej „konstytucji" – po naszemu, statucie – przyjęto zasadę, iż uczestnicy przyszłych kongresów będą typowani w systemie mieszanym: część w drodze wyboru, część w drodze losowania. Za takim systemem opowiedziało się 67 proc. delegatów.

Inne decyzje, podjęte przez kongres, wydają się nieco bardziej ryzykowne.

No dobra: mnie się wydają, albowiem w dwóch kluczowych kwestiach delegaci opowiedzieli się za rozwiązaniem promowanym przez Sultanę, a przeciw Corbynowi.

Pierwsza to koncept kolektywnego kierownictwa, zamiast jednego lidera. Tu różnica była dość niewielka – 51,6 do 48,4 proc. To odważna i niewątpliwie bardziej demokratyczna formuła – można się wszakże zastanawiać, na ile się sprawdzi w obecnej cywilizacji obrazkowej, gdzie osobowości przemawiają znacznie silniej niż programy. Zobaczymy. Warto przy tym odnotować, że trzecia opcja – kierownictwo dwuosobowe – decyzją komitetu organizacyjnego złożonego z corbynitów nie została poddana pod głosowanie, choć taką właśnie formułę zdawała się przewidywać Sultana, kiedy w lipcu ogłosiła, że razem z Corbynem poprowadzi nową partię.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Drugie istotne głosowanie, wygrane przez opcję Sultany bardzo dużą przewagą – 69,2 do 30,8 proc. – dotyczyło zgody na podwójne członkostwo, czyli dopuszczenia do udziału w partii członków innych lewicowych formacji. To zagadnienie stało się zarzewiem awantury z pierwszego dnia kongresu, który Zarah Sultana zbojkotowała w solidarności z działaczami Socjalistycznej Partii Robotniczej (SWP), których członkostwo w YP anulowano; części po prostu nie wpuszczono na kongres, zgodnie z decyzją komitetu organizacyjnego, zdominowanego przez corbynitów.

Ten spór osadzony jest głęboko w historii. Corbyn jest dość wiekowy, żeby pamiętać zjawisko zwane entryzmem – strategię trockistów, polegającą na przejmowaniu nietrockistowskich partii lewicowych, właśnie metodą zapisywania się do nich i wpływania na ich program od środka. Argumentem za odrzuceniem podwójnego członkostwa może być proste oczekiwanie lojalności ze strony członków rodzącej się partii; kontrargumentem zasada „nie ma wroga na lewicy" i przekonanie, że w tak nieprzyjaznym otoczeniu formacje lewicowe powinny łączyć siły i unikać wspomnianego wyżej sekciarstwa. Wygrała ta druga opcja – co można zapewne złożyć na karb późniejszego urodzenia większości delegatów.

Trzecią kwestią realnie sporną był wybór nazwy partii: 37 proc. opowiedziało się za utrzymaniem roboczej nazwy „Your Party" (inne propozycje brzmiały: Nasza Partia, Sojusz Ludowy i Dla Wielu). Cały statut partii został przyjęty większością 90 proc. głosów, deklaracja programowa partii – 93 proc. To daje niejaką nadzieję na to, że droga naprzód nie będzie wybrukowana sekciarskimi i personalnymi konfliktami.

W tym roku miałam rzadką okazję usłyszeć na żywo zarówno Jeremy'ego Corbyna – na marksistowskim festiwalu w Londynie; jak i Zarę Sultanę – na antywojennej konferencji w Paryżu. Miękka charyzma Corbyna, jego spokojna pryncypialność, zrobiły nam mnie wrażenie znacznie większe niż agresywna żarliwość Sultany. Pewnie nie jestem obiektywna – ale nie jestem też osamotniona. Według sondaży YouGov, Jeremy Corbyn ma 96 proc. rozpoznawalności i 30 proc. ocen pozytywnych, co daje mu trzecie miejsce w rankingu brytyjskich polityków; Zarah Sultana, z rozpoznawalnością na poziomie 40 proc., nie załapuje się na pierwszą dwudziestkę.

Jeśli frakcja Sultany podejmie próbę marginalizacji corbynitów – skończy się to dla całej formacji bardzo smutno. Ale jeśli obie frakcje Your Party będą pamiętać, że partia nie jest dla aktywu, tylko dla elektoratu – Wielka Brytania ma szansę na prawdziwą i liczącą się lewicę.

Co piszę nie bez zawiści.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Operacja knebel

Czy jesteś anty, czy pro i tak się komuś narazisz.

Wydawnictwo Dwie Siostry, specjalizujące się w książkach dla dzieci i młodzieży, opublikowało oświadczenie o zerwaniu współpracy z Tiną Oziewicz, popularną autorką książek dla najmłodszych. Za podjęciem decyzji przemówiły wypowiedzi pisarki dotyczące Izraela i Strefy Gazy, które stały w sprzeczności do wartości wyznawanych przez zespół Dwóch Sióstr. O tym, że rykoszetem w wojnie izraelsko-palestyńskiej można oberwać, będąc daleko poza granicami Strefy Gazy, przekonali się także sędzia MTK Nicolas Guillou i izraelska pisarka Tamar Raphael.

Obraza uczuć

Zanim w social mediach Dwóch Sióstr pojawiło się oświadczenie o zawieszeniu współpracy z Oziewicz, wielu czytelników nawoływało do bojkotu wydawnictwa. Odbiorcom uroczych dziecięcych lektur traktujących o wadze uczuć trudno było strawić wpisy poczytnej autorki z jej prywatnego konta na Instagramie. „To wy, środowiska propalestyńskie, robiące huk wokół Gazy i popierając Hamas i jihadystów, jesteście odpowiedzialni za zepchnięcie wszystkich innych tragedii i konfliktów o wiele gorszych i brutalniejszych niż wojna w Gazie w cień medialny, masowe poparcie dla wszystkich terrorystycznych grup i eksplozje antysemityzmu na świecie (…)" [pisownia oryginalna] – deklarowała Oziewicz. W niektórych postach w języku angielskim pisarka wyjaśniała, że śmierci dzieci w Gazie winni są sami Palestyńczycy, bo „życie tych dzieci i ich dobro nie mają znaczenia dla ich własnego żądnego krwi społeczeństwa".

„Nie mamy wpływu na wypowiedzi autorów w innych miejscach niż wydawane przez nas książki – jako wydawnictwo wypowiadamy się poprzez treść tych książek. Od blisko 20 lat wydajemy tytuły przeciwstawiające się przemocy, wojnie i stające w obronie grup marginalizowanych. Wierzymy, że dorobek naszego wydawnictwa w wystarczający sposób świadczy o naszym stosunku do wszelkich zbrojnych agresji" – oświadczył zespół wydawnictwa Dwie Siostry.

„Po nieustannej kampanii nienawiści przeciwko mojemu wydawcy i ilustratorce moich książek dla dzieci (…) doszliśmy do końca naszej podróży. Nikt nie jest w stanie pracować i tworzyć pod ciągłym ostrzałem nienawiści ze strony propalestyńskich aktywistów. Nie będzie już książek o uczuciach. Seria dobiegła końca. Możecie świętować" – podsumowała pisarka. Piotr Strzemieczny, organizator Festiwalu Kultury Żydowskiej w Grodzisku Mazowieckim, słusznie zauważył, że nie można zwalniać ze względu na poglądy. Okazuje się jednak, że opowiedzenie się po jednej ze stron konfliktu może mieć o wiele bardziej nieprzyjemne konsekwencje.

Samosąd wsobny

Pod koniec października we Frankfurcie odbyły się coroczne Międzynarodowe Targi Książki, jedna z największych tego typu imprez na świecie. W skład delegacji biorącej udział w wydarzeniu, z ramienia Ministerstwa Kultury Izraela, została zaproszona mieszkająca w Berlinie izraelska poetka i pisarka Tamar Raphael. Podczas jednego z paneli dyskusyjnych autorka wystąpiła z małą przypinką w kształcie flagi palestyńskiej i otwarcie stwierdziła, że Izrael popełnił ludobójstwo w Strefie Gazy. Pisarka wezwała do międzynarodowego uznania państwa palestyńskiego. Wyjaśniła też, że jako Izraelka sprzeciwia się polityce swojego rządu i chce dialogu opartego na równości. Przemówienie było częścią dyskusji o roli książek w budowaniu empatii, ale argumenty pisarki o potrzebie słuchania głosów z Gazy i o tym, jak konflikt wpływa na młodych autorów i czytelników, nie spotkały się ze zrozumieniem.

Relacja z wydarzenia szybko rozeszła się w mediach społecznościowych i została podchwycona przez prawicowych influencerów, przeradzając się w lawinę ostracyzmu wobec autorki i mieszania jej z gównem. W krótkim czasie pod adresem Raphael napisano ponad 2 tys. wrogich komentarzy, w tym jawne groźby gwałtu i morderstwa. Wśród nawołujących do linczu znalazły się prominentne postacie izraelskiej skrajnej prawicy, m.in. raper i aktywista Joaw „The Shadow" Eliassi oraz Yinon Magal, znany z poparcia dla premiera Binjamina Netanjahu polityk i dziennikarz Kanału 14. Solidarność z Raphael wyrazili: poseł do Knesetu z listy Hadasz – Ta'al Ajman Odeh oraz redakcja magazynu literackiego, z którym współpracuje pisarka.

W rozmowie z izraelskim dziennikiem „Haaretz" Tamar Raphael powiedziała, że odrzucenie zaproszenia byłoby równoznaczne z autocenzurą. „Z mojego punktu widzenia odmowa udziału w delegacji byłaby bojkotowaniem samej siebie" – powiedziała. „Nieuczestniczenie z powodów politycznych oznaczałoby bojkot izraelskiej kultury. Tego bym nie zrobiła" – dodała.

Odnosząc się do gróźb, pisarka stwierdziła, że odzwierciedlają one niepokojącą rzeczywistość izraelskiego dyskursu. Ten jak się okazuje, ma znacznie szersze pole rażenia.

Szubienica sankcji

Z końcem listopada francuski sędzia Międzynarodowego Trybunału Karnego Nicolas Guillou opowiedział w rozmowie z „Le Monde" o konsekwencjach objęcia go amerykańskimi sankcjami na tle śledztwa przeciwko izraelskim politykom.

Na liście osób objętych sankcjami przez Stany Zjednoczone widnieje prawie 15 tys. nazwisk. Jeśli spojrzeć na towarzystwo, może zmarszczyć się dupa. To m.in. dyktatorzy, członkowie Al-Kaidy, Państwa Islamskiego i innych organizacji terrorystycznych. Do grona osób niepożądanych w społeczeństwie zaliczono trzech prokuratorów i sześciu sędziów Międzynarodowego Trybunału Karnego (MTK). Powodem, dla którego administracja Donalda Trumpa zdecydowała się na taki krok, jest postanowienie instytucji o nakazie aresztowania premiera Izraela Binjamina Netanjahu i tamtejszego byłego ministra obrony Jo'awa Galanta. W wyniku masakry urządzonej w Strefie Gazy trybunał uznał, że obaj są odpowiedzialni za zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości. Uległy wobec izraelskiej narracji Biały Dom nie podziela tej opinii. Guillou wyjaśnił, co jego obecność na liście oznacza w praktyce.

Sankcje nałożone na sędziego nie dotyczą jedynie zakazów obowiązujących na terenie USA, ale dotykają wszystkich codziennych aktywności Guillou na terenie Europy. Wszystko dlatego, że zabraniają one jakiemukolwiek podmiotowi amerykańskiemu – osobie, firmie, a także ich spółkom zależnym za granicą – świadczenia usług osobie objętej sankcjami. Wskutek tego wszystkie konta i profile sędziego w serwisach takich jak Amazon, Airbnb czy PayPal zostały zamknięte. Nie może również korzystać z płatności kartami Visa i Mastercard. Co więcej, jak powiedział Nicolas Guillou, nawet banki, które nie są amerykańskie, mogą odmówić usług osobom objętym sankcjami. Wystarczy, że transakcja będzie dokonana w dolarach lub zawarta z osobą lub podmiotem z USA.

Wnioski płynące z powyższych historii są niewesołe. Empatia może prowadzić do krzywdy, a w kneblowaniu wolności słowa – tak jak na wojnie – wygra ten, kto ma władzę, a nie rację.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 8f853d41ab

Wizimisię zamiast wizy

Wielki Kanion, Statuę Wolności i Park Yellowstone lepiej oglądać na YouTubie.

Ruch bezwizowy z USA – to magiczne hasło, którym rządy i media obdarzają narody, których obywatelom Stany Zjednoczone łaskawie pozwolą wsiąść do samolotu bez konieczności wklejania do paszportu wizy. Od kiedy Polska dołączyła do grona uprzywilejowanych, opowieści o miłości USA do Rzeczypospolitej niosą się pod niebiosa. Tyle że ta bezwizowość ani nie jest bezwizowością, ani nawet realnym przywilejem. Przekonali się o tym choćby dziennikarze OKO.press.

To, co zaoferowały Polsce Stany, to nie to samo co automatyczne prawo wjazdu. ESTA nie jest wizą, ale też nie gwarancją wstępu. Amerykański urzędnik graniczny nie musi się tłumaczyć ze swoich decyzji – niezależnie od tego, czy dotyczą przemytnika narkotyków, czy dziennikarza.

Zaszczyt wjazdu

Do zdarzenia doszło na lotnisku JFK w Nowym Jorku. Dziennikarka i redaktor naczelny przybyli do USA na konferencję poświęconą mediom niezależnym. Mieli ważne dokumenty, bilety powrotne, hotel, zaproszenie.

Ale zabrano im paszporty, wyłączono możliwość korzystania z telefonu, kazano czekać ponad półtorej godziny bez żadnej informacji, co się z nimi dzieje. Pytania, które im zadawano, dotyczyły nie tylko celu podróży czy standardowych danych biograficznych, ale też naszych poglądów politycznych, stosunku do wojny w Ukrainie, działalności zawodowej i tego, czy mają wrogów.

W systemie ESTA, który zastąpił wklejaną wizę, dziennikarze zaznaczyli swoją profesję. Mimo to – lub właśnie dlatego – zostali zatrzymani do kontroli, która trwała dłużej niż u większości turystów. I choć finalnie zostali wpuszczeni na teren USA, trudno to nazwać bezwizowym ruchem między krajami.

ESTA, czyli elektroniczny system autoryzacji podróży, ma służyć upraszczaniu procedur. W teorii pozwala na 90 dni pobytu bez wizy. „To, że ESTA została zatwierdzona, nie oznacza, że ma się prawo wjazdu. Ostateczną decyzję zawsze podejmuje urzędnik imigracyjny na granicy" – tłumaczy prawniczka zajmująca się sprawami migracyjnymi w Nowym Jorku. „A jeśli z powodu własnego widzimisię uzna, że osoba stanowi zagrożenie, ma prawo ją zatrzymać, przesłuchać i odesłać do kraju".

Bo wjazd do USA to nie tylko kwestia prawa do podróży. To również symbol – kto jest „swój", a kto „podejrzany". Kto pasuje do narracji o sojuszniczym, demokratycznym partnerstwie, a kto może być niewygodny.

Podobnych przypadków pozostających poza światłem reflektorów jest mnóstwo. Bo nie każdy zatrzymany jest dziennikarzem i chce nagłaśniać sprawę. Dlatego historia OKO.press nie jest jedynie anegdotą z podróży. Jest sygnałem ostrzegawczym, że w USA wartości takie jak swoboda przemieszczania czy wolność słowa kończą się tam, gdzie zaczyna się humor urzędnika.



Rys. TOMASZ WIATER

Wybłagiwanie

Najzabawniejsze zaś, że Amerykanie wciąż wierzą, że największym marzeniem przeciętnego Polaka jest praca na czarno na Greenpoincie. A my – nie wiadomo czemu – postanowiliśmy ich w tym przekonaniu utwierdzać.

W 1991 r., kiedy Lech Wałęsa poleciał do USA jako prezydent, bez pytania kogokolwiek o zgodę ogłosił zniesienie wiz dla obywateli USA. Amerykanie odpowiedzieli po swojemu – zniesieniem opłat wizowych dla Polaków. Trzy lata później przeszło im i to. Kongres przyjął przepisy wprowadzające jednolite opłaty wizowe dla wszystkich państw, także dla nas. Początkowo 20 dol., potem – w 2002 r. – już 100.

W 1990 r. o wizę do USA starało się około 200 tys. Polaków. W 2004 – dwukrotnie więcej. Ale dekadę później już tylko około 70 tys. Teraz liczba ta oscyluje w okolicach 100 tys. rocznie. Bo po wejściu do Unii, gdy Europa otworzyła dla nas swoje rynki pracy, tylko krewniacy Polonii i ci z kompleksem Ameryki chcieli lecieć za ocean. No i turyści.

Dziś miliony Polaków pracują na Zachodzie. Legalnie. Bez wiz, za lepsze pieniądze. USA nie są już dla nas sensownym rynkiem pracy. W Niemczech, Holandii czy Norwegii zarobki są porównywalne lub wyższe niż w USA, a prawo pracy chroni zatrudnionego. W Polsce minimalna krajowa goni europejskie standardy, a rynek pracy – zwłaszcza w budownictwie, usługach i logistyce – cierpi na brak ludzi do roboty. Można zarobić tyle samo lub więcej, nie opuszczając kraju.

W Stanach? Trzeba lecieć, wynająć pokój, znaleźć pracę na czarno, modlić się, żeby nie złapali. Pracować po kilkanaście godzin dziennie bez gwarancji czegokolwiek. A jeśli trafi się kontrola – deportacja. Do tego dochodzą koszty życia i izolacja społeczna. USA przestały być ekonomiczną ziemią obiecaną.

Walka o bezwizowość zaczęła się na dobre za George'a W. Busha. Polska „największym przyjacielem USA", nasze wojsko w Iraku, dyplomaci z MSZ biegający z petycjami po kongresmenach. W 2002 r. MSZ oficjalnie zarzuciło USA uciążliwość procedury wizowej. Rok później sejm przyjął rezolucję wzywającą do zniesienia obowiązku wizowego. Powód? Polska to sojusznik USA, a reszta Europy jeździ bez wiz.

Waszyngton miał to w nosie. Wskazał na statystyki – zbyt wielu Polaków nielegalnie zostaje w USA. Bush coś tam obiecał, ale w 2008 r. to nie Polska trafiła do programu wiz uproszczonych, lecz Litwa, Łotwa, Estonia, Węgry, Czechy, Słowacja i Korea Południowa. Bo Polska „nie spełniła warunku odmów wizowych poniżej 10 proc.". Rzecz w tym, że ten warunek był arbitralny. Gdy Litwa miała 28 proc. odmów, a rok później już poniżej 10 – coś tu śmierdziało. Konsul mógł odmówić komu chciał. Nie było algorytmu. Była polityka.

Ambasador USA w Polsce Victor Ashe mówił w 2009 r., że fajnie by było, gdyby w tym roku udało się znieść wizy. Obama – zdeterminowany, by naprawić sytuację – zapowiadał zniesienie wiz do końca swojej kadencji. Kolejni ambasadorowie powtarzali, że „wkrótce".

Trump – jeszcze jako kandydat – zapewniał, że zrobi to dwa tygodnie po zaprzysiężeniu. Waszczykowski pojechał do Waszyngtonu pokazać, że Polska „wstaje z kolan". Wrócił z niczym. Byliśmy w jednym klubie z Bułgarami, Rumunami, Chorwatami i Cypryjczykami.

Psychiczny terrorysta

I nagle cud. Trump ogłasza: Polska zostaje przyjęta do Visa Waiver Program. Od 11 listopada 2019 r. Polacy mogą wjeżdżać do USA bez wiz, na podstawie autoryzacji ESTA. Nie wolno tego jednak mylić z wizą, bo ta dla dłuższych pobytów w Stanach obowiązuje. Owszem, nie trzeba iść do ambasady, nie trzeba rozmawiać z konsulem, nie trzeba przynosić zdjęcia paszportowego. Zamiast tego – trzeba zapłacić (21 dol. od osoby, dzieci nie mają zniżki) i odpowiedzieć na serię pytań, które obrażają inteligencję każdego, kto widział granicę choćby z daleka.

Najpierw dane osobowe. Imię, nazwisko, płeć, data urodzenia, miejsce urodzenia, nazwiska rodziców, pseudonimy (tak, serio), krajowy numer identyfikacyjny. Potem: numer paszportu, daty ważności, kraj wydania. Dalej – adres hotelu lub osoby kontaktowej w USA, dane kontaktowe w nagłych wypadkach, nazwa pracodawcy, stanowisko, adres. Ale crème de la crème to pytania kwalifikacyjne. I tu zaczyna się kabaret.

„Czy kiedykolwiek miałeś zaburzenia psychiczne?" „Czy cierpisz na choroby zakaźne?" „Czy brałeś udział w działalności terrorystycznej?" „Czy byłeś skazany za poważne przestępstwo?" „Czy kiedykolwiek naruszałeś przepisy dotyczące narkotyków?" „Czy pracowałeś nielegalnie w USA?" „Czy odmówiono ci wjazdu do Stanów?" „Czy oszukiwałeś przy poprzednich wnioskach wizowych?" „Czy byłeś w Iranie, Syrii, Sudanie, Libii, Korei Północnej, Jemenie albo na Kubie po 2021 r.?". Wszystko to należy potwierdzić kliknięciem „nie". Odpowiedź „tak" oznacza natychmiastową odmowę w systemie. Bez uzasadnienia. Bez możliwości odwołania.

O wiele bardzie opłaca się nie mieć ruchu bezwizowego. Jak z Kambodżą. Albo Laosem. Albo Rwandą. Krajami, które nie mają najpotężniejszego wywiadu świata, nie trzymają pół miliarda ludzi w bazach danych, ale potrafią się zachować. Kambodżańska wiza za 36 dol. – do kupienia online, na granicy, na lotnisku. Bez pytań o choroby. I z gwarancją wpuszczenia.

TOMASZ BOROWIECKI

Włochy po raz kolejny udowadniają, że są krajem paradoksów. Z jednej strony premierem jest kobieta wywodząca się z partii o korzeniach faszystowskich, a wicepremierem – facet, który został skazany za rasizm wobec własnych rodaków (na antypołudniowej retoryce Salvini zbudował cały swój kapitał polityczny; w 2009 r. spotkały go z tego tytułu konsekwencje prawne po tym, jak intonował rasistowską wobec Neapolitańczyków przyśpiewkę). Z drugiej strony na ulice wychodzą setki tysięcy ludzi, aby walczyć z prekaryzacją pracy i cięciami wydatków socjalnych. A przez parlament – wskutek licznych, powtarzających się od lat protestów – przechodzi ustawa, która za kobietobójstwo karze dożywociem.

Zeszły tydzień dla Włochów był w istocie intensywny. Zacznijmy od historycznej ustawy o kobietobójstwach, która została uchwalona 25 listopada. Oficjalnych statystyk brak (podobnie zresztą jak w Polsce), ale szacunki mówią o setce takich zbrodni rocznie; większość kobiet ginie z ręki partnera. Temat *femminicidio* powrócił do debaty publicznej po śmierci Giulii Checchettin, 22-latki zamordowanej w 2023 r. przez chłopaka, od którego próbowała odejść. Zabójstwo wywołało we Włoszech falę protestów i intensyfikację działań ruchu Non Una Di Meno (Ani Jednej Więcej). Ruch, obecny we Włoszech od 2016 r., domagał się pójścia w ślady Hiszpanii, która kobietobójstwo klasyfikuje jako osobne przestępstwo od 2004 r.

Non Una Di Meno oraz inne organizacje feministyczne w końcu walkę wygrały – do kodeksu karnego wprowadzony został zapis 577-bis uznający *femminicidio* za osobną kategorię zbrodni, za którą grozi najwyższa kara przewidziana w prawie włoskim: dożywocie. To wielki krok dla kraju, gdzie jeszcze w 1982 r. w kodeksie karnym

Nowojorska apokalipsa według Gadomskiego

Wygranie wyborów na burmistrza Nowego Jorku przez Zohrana Mamdaniego wywołało stany lękowe nie tylko wśród wierchuszki amerykańskiego ruchu MAGA. Wiatr nowojorskich zmian dotarł nad Wisłę i sprowokował redaktora Witolda Gadomskiego do napisania felietonu, obok którego nie sposób przejść obojętnie. „Największe miasto w USA oddało stery politykowi, który traktuje kapitalizm jak osobistego wroga, a prywatną inicjatywę jak wstydliwy, szkodliwy przeżytek" – straszy autor na łamach „Gazety Wyborczej". I uprawia demagogię, od której marszczy się dupa.

Lewacka metropolia

Zwycięstwo w wyścigu, w którym rok temu nikt nie dawał mu szans, jest wielkim sukcesem burmistrza-elekta. Nowojorczycy nie dali się zastraszyć uprawianej przez oponenta Mamdaniego, Andrew Cuomo, propagandzie widma nadciągającego „komunizmu" i postawili na świeżą socjalistyczną krew. Wygrana Mamdaniego jest wyraźnym sygnałem, że w USA – kolebce krwiożerczego kapitalizmu – inna polityka jest wielkim wyzwaniem, ale nie jest niemożliwa.

Mamdani zaprezentował swoim wyborcom optymistyczną wizję miasta, w którym ludzi nie tylko stać na życie, ale gdzie też po prostu chce się żyć. Dla społeczeństwa zmęczonego codzienną walką z efektami turbokapitalizmu, który wyhodował koszmarne nierówności społeczne pod okiem grona najbogatszych ludzi świata, to spora nowość.

Wszystkie znaki zwiastują, że styl rządzenia świeżego włodarza będzie całkowitym zaprzeczeniem cynicznej polityki miliarderów. Zohran zapowiedział pierwszy w Nowym Jorku powszechny program opieki nad dziećmi, zamrożenie czynszów w lokalach należących do miasta i budowę nowych, reformę systemu edukacji oraz powstanie miejskich sklepów spożywczych. Ponadto jest zwolennikiem darmowej komunikacji miejskiej, godziwej płacy i organizacji cywilnego Departamentu Bezpieczeństwa Społecznego nastawionego m.in. na rozwój programów antyprzemocowych. Choć program czerpie wzorce z najlepszych prospołecznych inicjatyw europejskich, Gadomski – jak przystało na członka koalicji na rzecz włażenia w dupę milionerom i klękania przed wielkim biznesem – wpada w panikę. Punkt po punkcie wyłuszczył i zlinczował pomysły demokratycznego socjalisty na Nowy Jork.

„Zohran Mamdani ma na wszystko proste rozwiązania. Według jego projektu Nowy Jork ma być poligonem doświadczalnym dla najbardziej ambitnych eksperymentów lewicowej polityki miejskiej" – ironizuje redaktor. Pomysł sieci miejskich sklepów oferujących żywność w atrakcyjnych cenach nazywa żywcem wyjętym z podręcznika historii PRL, dokładnie z rozdziału o „bitwie o handel" z końca lat 40. „Wtedy komunistyczny rząd uznał, że prywatny handel to zło (…). Efekt? Zwycięstwo było tak spektakularne, że półki pustoszały szybciej, niż zdążono wydrukować plakaty o sukcesie »bitwy«" – zżyma się Gadomski.

Idea Mamdaniego jest prosta: należące do miasta sklepy, nienastawione na zysk, nieobciążone czynszem i podatkiem od nieruchomości, będą oferować tańszą żywność. Pomysł zyskał aprobatę koalicji ponad 30 ekonomistów, w tym m.in. Isabelli Weber (profesor ekonomii na Uniwersytecie Massachusetts Amherst) i byłego ministra finansów Grecji Janisa Warufakisa. Ekonomiści wyjaśnili, że miejskie sklepy spożywcze korzystałyby z publicznej siły nabywczej i ekonomii skali „eliminując pustynie żywnościowe i zapewniając nowojorczykom natychmiastową ulgę od zawyżania cen". Mamdani stwierdził, że skoro Nowy Jork już teraz wydaje miliony dolarów na dotowanie prywatnych operatorów sklepów spożywczych, to środki publiczne powinny zostać przekierowane na prawdziwą opcję publiczną, czyli rozwój sklepów miejskich.

eprasa.pl 8f853d41ab

Włochy między lewicą i prawicą

Historyczny tydzień, który nic nie zmieni



Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

widniały zapisy o *delitto d'onore*, przewidujące łagodne traktowanie mężów, którzy zamordowali niewierną żonę; oraz *matrimonio riparatore* – przepis pozwalający gwałcicielowi uniknąć kary, jeśli poślubi swoją ofiarę. W tym konserwatywnym społeczeństwie, z wielkimi oporami akceptującym równość kobiet, 25 listopada 2025 r. naprawdę staje się datą historyczną.

W październiku pisaliśmy o ogólnonarodowym strajku generalnym dla Gazy. Między 27 a 28 listopada podobna konstelacja związków zawodowych (znów nie były to „stare" związki zawodowe, jak FIOM czy CGIL, tylko cechujące się większą autonomią i radykalnością *sindacati di base*, takie jak CUB, COBAS, USB), zorganizowała strajk przeciwko projektowi budżetu na rok 2026 – tzw. Manovra 2026.

Przez 24 godziny, poczynając od 21.00 w czwartek, sparaliżowany został transport lokalny i koleje (Trenitalia, Italo, Trenord), w szkołach i na uniwersytetach odwołano zajęcia, ograniczony był również dostęp do placówek ochrony zdrowia. Z włoskich lotnisk nie odleciała zdecydowana większość samolotów. Był to jeden z większych zrywów ostatnich lat – szacunki mówią o setkach tysięcy manifestantów, milionach strajkujących pracowników. Największe manifestacje odbyły się rzecz jasna w stolicach regionów takich jak Neapol, Mediolan czy Rzym i innych dużych miastach.

Powodem do tego całego zamieszania są przede wszystkim zbyt duże wydatki wojskowe. Włoskie usługi publiczne – ochrona zdrowia, transport, edukacja – z roku na rok są w coraz bardziej opłakanym stanie.

Obawiający się postępującej prywatyzacji sektora publicznego Włosi niechętnie patrzą na poświęcanie coraz większej części budżetu na wojsko. A już szczególnie nie podoba im się udział Włoch w Re-Arm Europe Plan (znanym również jako Readiness 2030) zaproponowanym przez Ursulę von der Leyen w marcu tego roku.

Manifestanci i strajkujący stanowczo domagali się rekompensujących inflację podwyżek płac oraz stabilizacji warunków pracy; zauważalne były również wątki propalestyńskie i antywojenne. Jak to ostatnio we Włoszech bywa – np. przy okazji strajku dla Gazy – od *sindacati di base* zdystansowały się tradycyjne związki, CGIL czy CISL, które zapowiedziały swoje własne manifestacje na połowę grudnia.

Jesienne strajki generalne i zeszłotygodniowa nowelizacja kodeksu karnego są ciekawym punktem wyjścia do rozważań o relacji między polityką Włoch i ich społeczeństwem obywatelskim.

Prawdą jest, że od afery korupcyjnej *mani pulite* i pojawienia się Berlusconiego w latach 90., Włosi niejako siedzą okrakiem na płocie. Stracili zaufanie do lewicowych partii odwołujących się do porządku politycznego sprzed 1992 r. Partia Demokratyczna – bezpośredni spadkobiercy Partito Comunista Italiano (PCI) – od ideałów lewicowych odpłynęła już dawno, stając się jednym z doskonale nam znanych centrolewicowych, bezpłciowych tworów. Nuovo Partito Socialista Italiano, która w teorii odwoływała się do tradycji starej Włoskiej Partii Socjalistycznej sprzed Tangentopoli, od początku mizia się z centroprawicą Berlusconiego i ma jednego posła. Rifondazione Comunista, które miało odwoływać się do tradycji starego PCI, nikogo na dzień dzisiejszy nie interesuje.

Jakąś nadzieję dla włoskiej lewicy miała stanowić zupełnie nowa partia Potere Al Popolo – niestety, jest w stanie jeszcze bardziej opłakanym niż nasze Razem; nie ma nikogo w parlamencie. Działacze partii zbudowali swojego rodzaju ruch kontrkulturowy na południu, wpisując się w neapolitańską tradycję antyfaszystowsko-skłotową, biorą aktywny udział w strajkach generalnych i na dodatek prowadzą w Neapolu *centro sociale* (odpowiednik naszych skłotów) Je So Pazzo – jednak od kontrkultury trafiającej głównie do studentów do sukcesu politycznego droga jest długa.

Liczebność listopadowego strajku generalnego radykalnie przerasta skumulowane elektoraty partii lewicowych. Włosi wciąż są w swej masie społeczeństwem dość religijnym i konserwatywnym obyczajowo. Prawicowa retoryka łatwo do nich trafia, nawet jeśli równocześnie bez większych oporów zapiszą się do związku zawodowego, wezmą udział w strajku lub wyjdą na pikietę pierwszomajową.

To może nasuwać pytanie: czy ekstremistyczny prawicowy rząd – w pewnym stopniu kontrolowany przez duże społeczne zrywy i silną inicjatywę obywatelską – jest rozwiązaniem lepszym czy gorszym niż rząd nijaki, panujący nad obywatelami, którzy boją się cokolwiek pisnąć?

ANTONINA STEFFEN

Nadciąga era cyfr arabskich



Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Zapowiedź ulgi dla biednych najbardziej zabolała bogatych. Bill Ackman, wyceniany na 9,4 mld dolków twórca funduszu hedgingowego o poetyckiej nazwie Pershing Square Capital Management, w miejskich paśnikach wymykających się spod jarzma inflacji dostrzegł nawet widmo masowego exodusu nowojorskich firm. Bardzo się pomylił, ale o tym za chwilę.

„Nie byłoby pełnej socjalistycznej wizji bez darmowej komunikacji miejskiej" – peroruje dalej redaktor „GW" i ostrzega, że koszty przejazdu tych, których nie stać na bilet za 2,90 dolca, pokryją podatnicy, którzy autobusami nie jeżdżą. Dla pełnego obrzydzenia rozwiązania wieści, że autobusy bez opłat szybko zmieniają się w „mobilne noclegownie i strefy wolne od odpowiedzialności". Z obserwacji programu bezpłatnej komunikacji w kilku miastach USA oraz analiz ekonomicznych wynika zupełnie coś innego. Darmowe przejazdy zwiększają lokalną aktywność gospodarczą (generując ok. 1,5 mld dolców zysku netto). Brak interakcji przy kasie biletowej w pojazdach zmniejszył o ponad 30 proc. ilość ataków na kierowców. Dla mniej zamożnych rodzin to ulga finansowa umożliwiająca poszerzenie poszukiwań pracy czy placówek edukacyjnych. O korzystnym wpływie na środowisko nie wspominając. Doprawdy straszny ten socjalizm.

Ekonomia strachu

Mało co tak wzrusza jak wyjęta z okolic okrężnicy troska liberała. „Najbardziej ambitnym pomysłem burmistrza-elekta jest prawie dwukrotne podniesienie płacy minimalnej – do 30 dol. W efekcie każdy, kto nie generuje wartości 30 dol. na godzinę, nie będzie mógł legalnie pracować.

Uznanie kurierów za pełnoetatowych pracowników w praktyce zabije ten model biznesu, który działa tylko dlatego, że jest elastyczny – jojczy Gadomski. Idę o zakład, że to samo mówili właściciele garbarni i kopalń, kiedy zabroniono zatrudniania dzieci.

Mamdani proponuje stopniowe zwiększanie minimalnej stawki godzinowej z obecnych 16,50 do 30 dol. w roku 2030, co według nowego mera jest „minimum, na jakie zasługują Nowojorczycy", biorąc pod uwagę koszty bytowania w mieście. Plany mają objąć 1,7 mln pracowników gastronomii, handlu detalicznego, opieki zdrowotnej i logistyki.

Propozycja jest częścią szerszego programu przystępności życia, który obejmuje również m.in. budowę 200 tys. nowych mieszkań komunalnych na wynajem po preferencyjnych stawkach. „Wszystkie te pomysły trzeba jakoś sfinansować. Mamdani ma na to prosty sposób – podnieść podatki do poziomów, przy których Skandynawia wydaje się rajem podatkowym" – pisze felietonista „Wyborczej" i straszy, że Nowy Jork podzieli los Filadelfii, której upadek przyklepała ucieczka zamożnych przed wysokimi podatkami. Tak naprawdę Mamdani proponuje dodatkowe 2 proc. podatku dla dochodów powyżej miliona dolarów rocznie. W Szwecji podatek od najwyższych dochodów wynosi 52,3 proc., w Danii – 55,9.

W kampanii nieustannie przewijał się blef, że jeśli Mamdani zostanie burmistrzem, Nowy Jork przestanie być biznesową stolicą świata, bo jego socjalistyczne wymysły spowodują ekonomiczną katastrofę. W połowie listopada w NYC miała miejsce prestiżowa konferencja biznesowa Delivering Alpha organizowana przez telewizję CNBC. Tematem, który budził największe poruszenie wśród rekinów biznesu, była wygrana Zohrana Mamdaniego i jej konsekwencje.

W trakcie imprezy prezesi dwóch czołowych nowojorskich firm deweloperskich: Scott Rechler z RXR i Bill Rudin z Rudin Management przekonywali, że popyt na przestrzeń biurową w Nowym Jorku jest rekordowy. I nie chodzi tylko o umowy rozpoczynające się od przyszłego roku, ale też od 2028, 2030 i 2032. Co więcej, Rudin dodał, że jego firma jest jednym z trzech inwestorów planowanego w centrum Manhattanu wieżowca 350 Park Avenue. Budynek będzie miał 62 piętra i 170 tys. mkw. powierzchni użytkowej. Niemal połowę obiektu zajmie fundusz inwestycyjny Citadel LLC. Jego prezesem – co ciekawe – jest Kenneth Griffin, 21. najbogatszy człowiek na świecie i hojny sponsor Partii Republikańskiej.

RXR znalazło już głównego wynajmującego dla budynku, który jest w planach, choć jego poprzednik nie został nawet wyburzony. Inwestycja ma pochłonąć 7 mld dol. i mieć powierzchnię 260 tys. mkw. JP Morgan Chase, jeden z największych holdingów finansowych na świecie, chce natomiast zwiększyć o 50 proc. liczbę stanowisk pracy w swojej nowojorskiej siedzibie. Powód tych ruchów jest prosty: korpogiganci dobrze wiedzą, że prestiż Nowego Jorku jest niezbywalny, a jego zaplecze infrastrukturalne, kulturalne i historyczne zawsze będzie przyciągać.

„Z rządów Zohrana Mamdaniego w Nowym Jorku może wyniknąć jeden pożytek. Po raz kolejny przekonamy się, do czego prowadzi socjalistyczna utopia" – kończy swój wywód redaktor Gadomski.

Od pewnego czasu na portalu X Elona Muska krąży satyryczna groźba, że Mamdami wprowadzi w szkołach publicznych obowiązek nauki cyfr arabskich. Wielu prawicowych influencerów MAGA, m.in. Derrick Evans czy Laura Loomer, serio podało informację dalej, dołączając apel o ochronę dzieci przed zmianami kulturowymi. Jestem skłonna przypuszczać, że redaktor Gadomski mógłby się pod takim apelem podpisać.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 8f853d41ab

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Nie boję się mówić o tym, co ważne.* ***Homoseksualizm nie jest grzechem. Grzechem są czyny homoseksualne. A także promocja „kultury gejowskiej" i niszczenie małżeństwa jako mężczyzny i kobiety.***

ks. Janusz Chyła, X, 15 listopada

■ ***Wezwanie o. dr. Tadeusza Rydzyka do prokuratury wiele osób wiąże z wcześniej podejmowanymi działaniami wobec kapłanów i skutkami tych działań prowadzącymi do uszczerbku na ich zdrowiu fizycznym i duchowym.*** *To wszystko powoduje niepokój u odbiorców informacji i pobudza do poszukiwania jeszcze silniejszych sposobów na obronę charyzmatycznego Kapłana i przeciwstawienie się zniszczeniu Muzeum „Pamięć i Tożsamość", tej wyjątkowej, jakże potrzebnej Polakom instytucji kultury.*

Zespół Wspierania Radia Maryja, oświadczenie, Radio Maryja, 18 listopada

■ ***Dziś dusi się tego ducha narodowo-katolickiego. Dlaczego? Proponuje się nam zostać Europejczykami.*** *(…) Rząd Donalda Tuska tyle mówi na temat seniorów, jak należy pięknie traktować osoby w podeszłym wieku, a ojca dyrektora ciągnie przez całą Polskę po to, żeby go przesłuchać.* (…) ***My się na to nie godzimy, jeżeli trzeba będzie podjąć inne działania, to również będziemy szukać sprawiedliwości – za takie traktowanie Polaków, za takie traktowanie duchowieństwa – poza granicami kraju.***

dr Artur Dąbrowski, prezes Akcji Katolickiej Archidiecezji Częstochowskiej, Radio Maryja, 20 listopada

■ *Papież wskazał, że dzieje naszego narodu są zakorzenione w wydarzeniach głęboko historio-zbawczych i poprzez tajemnice Chrztu świętego sięgają Wieczernika i działalności misyjnej Kościoła.* ***Nie ma dziejów Polski przedchrześcijańskiej.*** *(…)* ***Jeżeli chcemy naprawdę zrozumieć dzieje Polski, to pamięć ma charakter głęboko chrześcijański i z tej pamięci wyrasta nasza tożsamość, która jest tożsamością katolicką. Katolicyzm jest rzeczywistością otwartą, a nie – jak się nam próbuje wmówić – dyskryminującą. Przeciwnie, katolicyzm jest głęboko humanistyczny, jest otwarty na każdego człowieka.***

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, Radio Maryja, 19 listopada

■ *Przypadkowo oglądałem kawałek Voice of Poland i Szansy na sukces. Jury kryguje się przed kamerą jak piętnastoletnie podlotki. Niektórzy z tych półfacetów jeszcze 20 lat temu mogliby być co najwyżej kobietą z brodą w cyrku. Najbardziej obrzydliwe jest to, że niektórzy z nich tylko udają tęczowych miękiszonów* (…) ***Kto jest pierwszą ofiarą miękiszońtwa? Oczywiście Panie.*** *(…)* ***Św. Paweł pisał, cytując Jezusa: (…) Życie zamykające się w sobie samym jest śmiercią za życia. Kobieta poprzez ciążę, karmienie piersią i macierzyństwo, poprzez swoją biologię, jest naprowadzana w sposób naturalny na tę prawdę i w oddawaniu życia szuka jego sensu.*** *(…)* ***I co mają robić, jeśli dookoła tęczowe miękiszony?***

Damian Wojciechowski TJ, Opoka.org, 12 listopada

■ ***Trzeba dostrzec to, że brak poznawania prawdy świata ostatecznie może prowadzić człowieka do stanu największej głupoty, w której człowiek nie zna Boga, a nawet posuwa się do ateizmu, czyli negacji istnienia Boga.*** *Głupi z natury są wszyscy ludzie, którzy nie poznali Boga. Patrząc na dzieła, nie poznali Twórcy, lecz ogień, wiatr, gwiazdy, wodę uznali za bóstwa, które rządzą światem.* ***Patrzmy na świat, jego piękno i dobro, bo jeśli nie będziemy tego czynić, to grozi nam nie tylko utrata rozumu, ale największa głupota – ateizm, bezbożnictwo.***

prof. Paweł Skrzydlewski, Radio Maryja, 23 listopada

KLECHA

Sezon na Rysia

Krakowski spleen po nominacji

Krakowska telenowela klerykalna się kończy, a przynajmniej sezon z Jędraszewskim w roli głównej. Zmiana na krakowskim tronie była tak oczywista, że aż zaskakująca. Marka Jędraszewskiego zastąpił Grzegorz Ryś, dotychczasowy metropolita łódzki, a wcześniej biskup pomocniczy krakowski. Gdy Jędraszewski przeszedł z Łodzi do Krakowa, w Łodzi zastąpił go Ryś, a teraz tenże zastępuje swojego łódzkiego poprzednika w Krakowie, dokąd wraca po ośmiu latach. Brzmi to jak nagłówek z „Pudelka": „Były mąż Dody pochwalił się zdjęciem z byłą partnerką byłego męża obecnej żony jej pierwszego męża". Ale tak to już w kościelnej rzeczywistości jest, choć deklaracje są zupełnie inne.

Biskupia poligamia

Nowy metropolita krakowski, historyk z wykształcenia, podkreślał wielokrotnie, że biskupstwo jest jak małżeństwo i nie powinno się zmieniać diecezji jak rękawiczek. W książce „Błogosławieni, święci, szczęśliwi" pisał: „Dziś w pierścieniu biskupim wszyscy szukają relikwii, tam jednak nie ma żadnych relikwii, pierścień na palcu biskupa jest znakiem zaślubin z Kościołem. Funkcją biskupa jest być dla Kościoła oblubieńcem, czynić w nim obecnym Chrystusa Oblubieńca; relacja biskup–Kościół to jest relacja Chrystus–Kościół. Wtedy bardzo mocno się tego trzymano. Nie było możliwe na przykład, żeby biskup sobie zmienił diecezję; małżeństwo jest nierozerwalne, żony się nie zmienia, masz tę i basta, koniec! Dlatego też biskup musiał być wybrany przez ludzi, bo nie można nikogo do małżeństwa zmusić. Ta duchowość małżeństwa w urzędzie biskupim była mocno przeżywana".

Dziś już ta doktryna nie obowiązuje, preferowany jest raczej model małżeński Jacka Kurskiego czy Marty Kaczyńskiej. Ryś nieraz zapewniał, że z Łodzi się nigdzie nie wybiera, dobrze mu w niej i żaden Kraków mu się nie marzy, choć plotki o jego transferze krążą od kilku lat. W lipcu 2023 r. na spotkaniu z młodzieżą zapytany, czy tęskni za archidiecezją krakowską, odpowiedział natychmiast i stanowczo: nie! Podkreślał, że wprawdzie w Krakowie „wszystko się zaczęło", ale też widział w przenosinach palec boży, bo „Łódź jest radykalnie inna niż Kraków" i nie ma momentów nostalgicznych, ponieważ wszystko się w tych dwóch diecezjach różni. Rzucił kiedyś, że do Krakowa to najwyżej wyskoczy na emeryturę, żeby pobyć na starych śmieciach. Ale gdy przyszło co do czego, okazał się mniej pryncypialny i bardziej nostalgiczny, niż by to wynikało z deklaracji. Mówiąc wprost, zwyczajnie łgał w swoich zapewnieniach o wierności Łodzi.

Krótka ławka

Ryś był wymieniany wśród pewniaków na następcę Jędraszewskiego, ale wydłużający się okres oczekiwania sprawił, że w jego kandydaturę zwątpiono, bo przecież nominacja mogła zostać ogłoszona dobry rok temu. Od czasu złożenia rezygnacji przez Jędraszewskiego zdążył zmienić się papież – Franciszka zastąpił ekspert od biskupów, który przed konklawe odpowiadał za nominacje na całym świecie. Grzegorz Ryś był zresztą współpracownikiem Roberta Prevosta w Dykasterii ds. Biskupów, panowie więc dość dobrze się znają. Ryś jest zapewne jednym z niewielu polskich biskupów znanych osobiście Leonowi XIV, co mogło rzutować na decyzję papieża. Polskim kolegą Prevosta jest też augustianin Wiesław Dawidowski, współpracownik „Tygodnika Powszechnego", a więc środowiska Rysia, który publikuje tam felietony. Papież zapewne radził się znajomych, żeby przy nominacji na ważną polską stolicę biskupią nie popełnić jakiejś gafy. No i nie musi dzięki temu mianować kolejnego kardynała spośród Polaków. Tradycją bowiem jest – wyjątek zrobiono tylko dla Jędraszewskiego – że metropolita krakowski jest kardynałem. Franciszek nie uznawał tradycyjnych „stolic kardynalskich", ale Leon jest już bardziej zachowawczy i posyłając Rysia do Łodzi, ma problem z purpurą dla Polski z głowy.

Poszukiwania następcy abepe Jędraszewskiego trwały zatem długo i ostatecznie doprowadziły do wyboru najbardziej oczywistego. W tym czasie inne kandydatury były odrzucane przez Watykan, co dość dobitnie pokazuje jakość kadr kościelnych w Polsce.

To już drugi przypadek w ostatnim czasie, że wyróżniający się na plus hierarcha (to naprawdę nie jest trudne, ale i tak nieosiągalne dla polskich księży) jest przenoszony z jednej archidiecezji do drugiej. Ryś przynajmniej trochę sobie pożył w Łodzi, ale wcześniej abepe Adrian Galbas – obecnie metropolita warszawski – spędził w Katowicach zaledwie trzy lata. W 2021 r. został koadiutorem (biskupem z prawem następstwa) abepe Wiktora Skworca, postaci równie mrocznej co Jędraszewski lub jeszcze bardziej. Pełnię władzy w archidiecezji objął 31 maja 2023 r., a już 4 listopada 2024 r. papież Franciszek mianował go arcybiskupem warszawskim. Przed Katowicami był zaledwie dwa lata biskupem pomocniczym w Ełku. Kariera zaiste zawrotna, ale kompletnie przecząca bajkom dla owieczek o posłudze biskupa. A także o tym, że wszyscy w Kościele są równi. Są lepsze i gorsze parafie i diecezje, o czym świadczą ścieżki zawodowe Rysia i Galbasa.

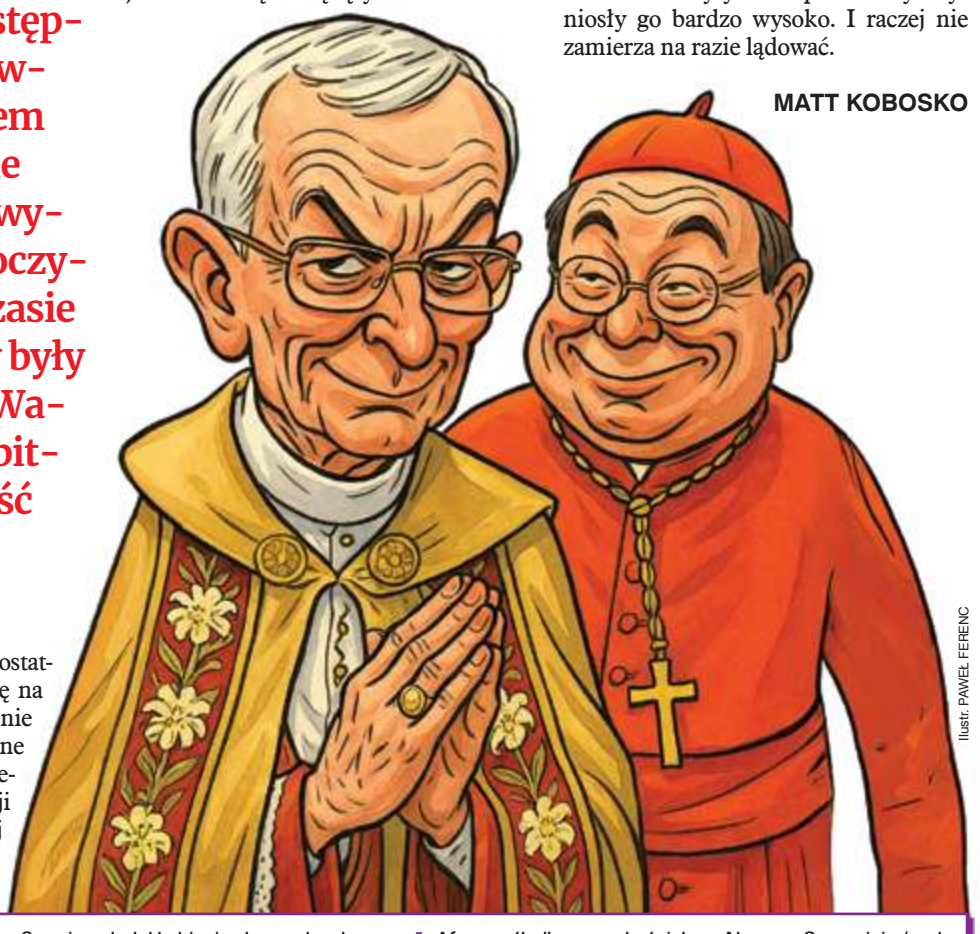
Skromny produkt Dziwisza

Grzegorz Ryś po nominacji idzie w zaparte i nadal udaje zaskoczonego, wręcz zasmuconego swoim awansem. Można by mu nawet współczuć, taką ma strapioną minę. Dopust boży i krzyż pański z tymi przenosinami. Kardynał nie wie, jak to będzie, bo jak tłumaczył w wywiadzie dla „Przewodnika Katolickiego": – Nie ma żadnych planów, bo naprawdę nie jest tak, że od dawna myślałem, „jak ten Kraków dorwać". Nie miałem w sobie żadnych takich ambicji ani pragnień. Nie żartuję, mówiąc, że potrzebuję się w tym Kościele od nowa znaleźć, odszukać. Rozejrzeć.

Wierzymy na słowo jak każdemu biskupowi. Wracając do Krakowa, Ryś bierze diecezję z dwoma „teściowymi", jak mówi się o będących na chodzie i pozostających w diecezji biskupach emerytach. Przy czym jedna teściowa będzie mu przychylna, druga – nie. W Krakowie – oprócz Jędraszewskiego – ciągle żyje przecież Dziwisz, który jest promotorem kariery Rysia. To on wybrał go sobie na biskupa pomocniczego, gdy tenże był rektorem krakowskiego seminarium – również z rozkazu Dziwisza. Sekretarz JP2 już zaciera ręce. – Człowiek wykształcony, człowiek otwarty. Myślę, że każdy będzie miał przystęp do niego – i młodzi, i starsi. Rodzice stąd pochodzą. On tu też się urodził. We krwi ma wszystko to, co związane z Krakowem. Tak że mamy nadzieję, że wszystko będzie świetnie – komentował na gorąco nominację swojego pupila. W samych superlatywach wypowiada się też o nim wywodzący się z Krakowa kard. Kazimierz Nycz: – Myślę, że Kraków czekał na takiego biskupa, który by do tej swojej intelektualnej postawy, wiedzy, możliwości dołączył także doświadczenia tego szczególnego miasta i tej szczególnej diecezji, z której, jak wiemy, wywodził się papież Jan Paweł II – mówił portalowi Stacja7, subtelnie wbijając szpilkę Jędraszewskiemu.

Kraków poczuł się znów doceniony, bo po ośmiu latach rządów elementu napływowego z Poznania w postaci Jędraszewskiego, na tron wraca rodowity Krakus, a to w tych rejonach dość istotne. W dodatku w czerwonej kardynalskiej czapce, z którą powraca do Małopolski prestiż. Do łask wróci zapewne wspomniany „Tygodnik Powszechny", który był sekowany przez rydzykolubnego arcybiskupa Jędraszewskiego. Będą mniej polityczne kazania, sporo – zazwyczaj pustych – gestów. Ale przede wszystkim Ryś jest wiernym synem swojej instytucji, a przyjaźń z Dziwiszem pokazuje, że to przede wszystkim człowiek, który wie, skąd wieje wiatr. Dobrze odczytywane podmuchy wyniosły go bardzo wysoko. I raczej nie zamierza na razie lądować.

MATT KOBOSKO



Ilustr. PAWEŁ FERENC

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Funkcjonariusze Centralnego Biura Antykorupcyjnego pojawili się w siedzibie prowadzonej przez ojca Tadeusza Rydzyka Fundacji Lux Veritatis. Zabezpieczyli tam dokumenty związane z dochodzeniem dotyczącym nieprawidłowości w Funduszu Sprawiedliwości. Śledztwo Prokuratury Krajowej w sprawie FS trwa od lutego 2024 r. Postępowanie obejmuje kilkanaście wątków, m.in. przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków przez byłego ministra sprawiedliwości oraz urzędników resortu, którzy dysponowali pieniędzmi z funduszu. Fundacja Rydzyka otrzymała z Funduszu Sprawiedliwości 12 mln zł. Za nie produkowała audycje w TV Trwam, opłacała wynagrodzenia prawników oraz wynajmowała biura w toruńskiej uczelni redemptorysty. Wezwanie na przesłuchanie w tej sprawie Tadeusz Rydzyk otrzymał na 8 grudnia, kiedy akurat przypadają urodziny Radia Maryja. Reżim Tuska nie zna litości.

✚ Plakat do spektaklu „Wszyscy jesteśmy Belén" Teatru im. Jaracza w Olsztynie doprowadził do niezdrowej podniety archidiecezję warmińską. Grafika przedstawia minimalistyczną figurę przypominającą Matkę Boską. Postać zamiast twarzy ma gładką, bezoczną maskę. W miejscu głowy dzieciątka Jezus znajduje się dziura. Sztuka jest adaptacją argentyńskiego reportażu Any Eleny Correi o młodej kobiecie skazanej na karę więzienia za samoistne poronienie. W opinii archidiecezji plakat stanowi poważne naruszenie czci należnej Najświętszej Maryi Pannie Częstochowskiej i został odebrany jako działanie obrazoburcze. Swoje trzy grosze dorzuciło także katolickie stowarzyszenie Bractwo Przedmurza. Organizacja ta określiła plakat, ale także sam spektakl, jako „dziadostwo w obwolucie antypolskiej i antykatolickiej".



Rys. OBYWATEL JANEK

✚ Afera pośladkowa w kościele w Nowym Secyminie (woj. mazowieckie). Piosenkarka Luna, prywatnie córka potentata branży spożywczej Andrzeja Wielgomasa, tańczyła w sukience z wycięciem na tyłek przed ołtarzem. Nagranie pląsów promujące nowy singiel wokalistki pojawiło się na TikToku. W klipie z ust wokalistki pada podłożony wiralowy tekst: „Tell Jesus that the bitch is back" („Powiedz Jezusowi, że suka wróciła"). Na teledysk zareagowała archidiecezja warszawska, która określiła zdarzenie jako „bulwersujący incydent". Metropolita warszawski abepe Adrian Galbas wezwał na dywanik administratora parafii i nałożył na niego upomnienie kanoniczne. W świątyni, gdzie nagrano materiał, odprawiono także nabożeństwo ekspiacyjne.

✚ Jak doniósł na portalu X ks. Daniel Wachowiak, Wiesław Janowski, działacz opozycji antykomunistycznej i były poseł, został zwinięty przez policję za uczestnictwo w Publicznym Różańcu pod pomnikiem Mikołaja Kopernika w Toruniu. „Uciszacie katolików, więc za dekady będą tu muzułmanie" – podsumował duchowny. Księżulo zapomniał dodać, że policja podjęła interwencję wskutek zawiadomienia o popełnieniu wykroczenia z art. 141 kodeksu wykroczeń, który traktuje o umieszczaniu nieprzyzwoitych ogłoszeń lub treści w miejscu publicznym. „Rząd Tuska chce uczyć dzieci: 4-latki – masturbacji, 6-latki – wyrażania zgody na seks, 9-latki – pierwszych doświadczeń seksualnych i orgazmu" – głosił jeden z banerów trzymany przez uczestników modłów. Bezpośrednim powodem zatrzymania Janowskiego była zaś odmowa wylegitymowania się. Jaki kraj, tacy męczennicy.

KLECHA

eprasa.pl 8f853d41ab

Czajniki na lodzie

Curling wygląda dość zabawnie, ale zabawą nie jest.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Za czasów mojej młodości przed każdym seansem w kinie wyświetlano Polską Kronikę Filmową. Pamiętam, jak cała sala pokładała się ze śmiechu, gdy na ekranie pojawił się fragment zawodów curlingowych i obywatele ze szczotkami, którzy – jak się wydawało – zamiatali lód przed ślizgającym się kamieniem z uchwytem, przypominającym czajnik, wyglądali na bardzo rozentuzjazmowanych. Komentarza lektora nie zacytuję dokładnie, ale chyba było coś o tym, że na Zachodzie ludziom już całkiem poprzewracało się w głowach.

Za żelazną kurtynę nie docierały wiadomości o tym, że zawody w curlingu rozgrywano już podczas igrzysk olimpijskich w Chamonix w 1924 r., choć nie przyznano wówczas medali, bo konserwatywnych działaczy MKOl zapewne również – jak warszawskich kinomanów – rozśmieszał widok czajników ślizgających się po lodzie i cieciów biegających przed nimi z miotłami. Później curling pojawiał się i znikał z igrzysk, ale zawsze jako dyscyplina pokazowa. Oficjalnie znalazł się w programie w 1998 r. w Nagano. Mało kto wie, że Polska ma szansę wystąpić w przyszłorocznych zimowych igrzyskach Mediolan–Cortina, a zadecyduje o tym grudniowy turniej przedolimpijski w kanadyjskim mieście Kelowna.

O olimpijski awans

W Kanadzie o dwa premiowane awansem miejsca powalczy osiem drużyn. Reprezentacja Polski, a ściślej należałoby powiedzieć reprezentacja Wałbrzycha, bo składa się z członków Wałbrzyskiego Klubu Curlingowego (kapitanem jest Konrad Stych, a trenerem Czech Jakub Bareš) nie będzie się zaliczać do faworytów. Co prawda w zakończonych niedawno i szeroko pokazywanych przez Eurosport mistrzostwach Europy utrzymała się w gronie najlepszych zespołów kontynentu i wywalczyła prawo startu w mistrzostwach świata, ale jeszcze parę lat temu wydawało się, że słowo „curling” zniknie z polskiego słownika sportowego.

Polski Związek Curlingu nie płacił składek do międzynarodowej federacji, został więc najpierw zawieszony, a później z niej wykluczony. Oznaczało to mniej więcej tyle, iż Polacy mogli sobie dla przyjemności ślizgać czajniki na lodowisku, o ile ktoś ich z niego nie wyrzucił, ale brać udziału w zawodach nie mogli. Minister sportu już kilka lat temu wystąpił do sądu o likwidację PZC, ale wyrok rozwiązujący związek zapadł dopiero rok temu i nie jest jeszcze prawomocny.

Co takiego nawyprawiali działacze PZC? Podczas walnego zgromadzenia swoje władze wybrali dzięki naprawdę podłym machlojkom. Dosadny przykład: ponieważ liczba głosów podczas zgromadzenia zależy od liczby klubów zrzeszonych w regionie, dopisywano jako swoje kluby sekcje kajakarskie albo ju-jitsu. Nie składano sprawozdań finansowych, nie działała komisja rewizyjna, przez trzy lata związek działał bez prezesa. Słyszałem, że ów prezes (nawiasem mówiąc, mój dawny kolega dziennikarz sportowy) ukrył się gdzieś przed komornikiem w domku letniskowym na Mazurach…

O co poszło? Oczywiście o pieniądze. Nawet z tak małego związku sportowego jak curlingowy można coś wyszarpać i przytulić do piersi. Ministerstwo przekazuje związkom sportowym dotacje, ale co się z nimi dzieje, nie zawsze dopilnuje. W dodatku sprzęt curlingowy nie jest tani, ale o tym za chwilę.

Kwestia podeszwy

Polskiego Związku Curlingu nie ma, ale Polacy wrócili na światowe areny. W 2022 r. grupa zapaleńców – są tacy w każdej dyscyplinie – powołała Polską Federację Klubów Curlingowych, a ta przyjęta została do międzynarodowego towarzystwa. Nie ma polskiego związku curlingowego, jest za to polska federacja. Też jakaś kombinacja, ale przynajmniej ta w słusznej sprawie.

Oczywiście startować trzeba było od zera. Polscy zapaleńcy skontaktowali się z zapaleńcami z innych krajów i stamtąd nadeszła pomoc. Curling to sport dla dżentelmenów. Ze Szwajcarii na przykład przysłano całe worki używanych curlingowych butów. W adidaskach uprawiać ten sport mogą tylko amatorzy. Zawodnicy korzystają ze specjalnego obuwia, z jedną podeszwą typu slider dla stopy ślizgającej się, a drugą, antypoślizgową dla stopy hack.

Jeśli chodzi o koszty, na pierwszy plan wysuwa się oczywiście specjalne prostokątne lodowisko. W Polsce najczęściej wykorzystuje się normalne obiekty, takie, na jakich grają hokeiści, specjalistycznych curlingowych torów jest kilka, nie chcę się pomylić, ale chyba nie więcej niż pięć.

Kamienie też swoje kosztują. Komplet to wydatek 40–50 tys. zł. Kamienie są granitowe, więc przynajmniej się nie zużywają. Inaczej jest ze szczotkami. Każda szczotka kosztuje 200–400 zł, ale jej końcówkę dość często trzeba wymieniać, podobnie jak obuwie.

Na naprawdę wysokim wyczynowym poziomie dochodzą jeszcze nadzwyczajne koszty, takie jak choćby elektroniczne urządzenie w każdym kamieniu, które sygnalizuje spalonego (tzn. że zawodnik nie wypuścił kamienia z ręki przed linią). Rozbudowana i ściśle przestrzegana etykieta nakazuje co prawda przyznawać się do błędu, ale sam zawodnik może go nie zauważyć. Elektronika sprawia, że sędzia właściwie staje się niepotrzebny, podobnie jak technologia Hawk-Eye (jastrzębie oko) ograniczyła jego rolę w tenisie. Ale na takie nowinki mogą sobie pozwolić naprawdę bogaci.

Elektroniczny sprzęt zamontowany musi być na każdym kamieniu, a jest ich osiem, po dwa dla każdego z czterech członków drużyny. Co tu dużo mówić, daleko odeszliśmy od czasów, gdy średniowieczni Szkoci puszczali płaskie kamienie wydobyte z rzeki po zamarzniętych taflach jezior.

Kamienie do domu

Czas wreszcie napisać, czym jest curling. Historia tego olimpijskiego dziś sportu zaczyna się w Szkocji i do dziś stamtąd wywodzą się najlepsi reprezentanci Wielkiej Brytanii. Prędko dołączył do nich inny lodowy kraj, czyli Niderlandy; w tamtych czasach oba kraje łączyły silne więzy kulturowe i handlowe. Elementów wczesnej odmiany curlingu dopatrzyć się można na obrazie Pietera Bruegla (starszego) z 1565 r. „Zimowy pejzaż z łyżwiarzami i pułapką na ptaki”.

W Polsce zabawa płaskimi kamieniami też miała swego czasu powodzenie. Nie puszczano ich jednak po lodzie (choć zimy kiedyś bywały u nas tęgie), ale latem po wodzie. Chodziło o to, komu uda się rzucić kamień w ten sposób, aby wiele razy odbił się od tafli, zanim na stałe zatonie. Kto zaliczył więcej „kaczek”, ten wygrywał. Zabawa ta nigdy nie przekształciła się jednak w oficjalną dyscyplinę sportową, a obecnie podobnie jak ringo czy dwa ognie została już całkiem zapomniana. W każdym razie nie zauważyłem, żeby moje wnuki i ich rówieśnicy puszczali kaczki. Mają gry komputerowe, które już stały się pełnoprawną dyscypliną sportu i coraz częściej mówi się o ich olimpijskiej nobilitacji.

Zasady curlingu są obecnie ściśle uregulowane, nie trzeba się ich domyślać z notatek w klasztornych kronikach albo z widoków na obrazach. W meczu biorą udział dwie drużyny, każda składa się z czterech zawodników, a każdy z nich ma po dwie próby. Na końcach boiska (lodowiska) zaznaczone są kręgi, zwane domami. Kręgi mają odpowiednio cztery, osiem i dwanaście stóp średnicy. W grze chodzi o to, aby umieścić swoje kamienie jak najbliżej centrum domu.

Zawodnik zagrywa kamień (nie tylko przeze mnie żartobliwie nazywany czajnikiem, sami także go tak nazywają między sobą), nadając mu odpowiednią rotację, tak aby zmieniał kierunek ślizgu. Dwaj szczotkarze szorują powierzchnię lodu przed kamieniem, co powoduje na nim warstewkę wody i potrafi wydłużyć zagranie. W domu stoi najważniejszy członek zespołu – kapitan zwany skipem – który stamtąd kieruje kolegami.

Im dalej w las, tym więcej drzew. W miarę zagłębiania się w curlingowe szczegóły nie tylko poznamy zawiły regulamin, ale dowiemy się np., że jak w łyżwiarstwie szybkim lód może być „szybki” albo „wolny”, co musi uwzględniać zagrywający, podobnie jak jego „zwrotność”, czyli sposób, w jaki reaguje na nadany kamieniowi skręt.

Kontakt z przeciwnikiem przy barze

Zdaniem Krzysztofa Becka ze Śląskiego Klubu Curlingowego posyłanie czajników po lodzie jest zajęciem dla sportowców, którzy nie lubią bezpośredniego kontaktu z rywalem, a cenią sobie taktykę i grę kombinacyjną, dlatego też czasem nazywa się curling szachami na lodzie.

Curling, choć ma długą historię, nie jest jeszcze skażony wieloma bolączkami zawodowego sportu. Rywale się szanują, okazanie radości po ich błędzie traktowane jest jako gruby nietakt. Wciąż jest to także okazja do poznawania ciekawych ludzi, towarzyskie kontakty są jak najbardziej wskazane.

I tu ciekawostka związana z curlingową etykietą: przyjęło się, że po wygranym meczu drużyna zaprasza przegranych na piwo, a nie odwrotnie, jak to np. bywa w darcie lub snookerze, gdzie nie tylko trzeba przełknąć gorycz porażki, ale jeszcze wyskoczyć z kasy przy barze.

Jeśli ktoś chce się bardzo obłowić na uprawianiu sportu, niech lepiej weźmie się za piłkę nożną lub tenis, a nie za curling. Od czasu gdy dowiedziałem się, że w Stanach Zjednoczonych istniało zawodowstwo w grze w papier, nożyce, kamień, nie dziwi mnie istnienie profesjonalnych turniejów curlingowych. Nie ma tam jednak kokosów. W turniejach Wielkiego Szlema, w których biorą udział najlepsze drużyny świata, suma nagród musi być nie mniejsza niż 100 tys. kanadyjskich dolarów, a uczestników jest kilkudziesięciu.

Kraje Półwyspu Arabskiego chętnie goszczą przedstawicieli najróżniejszych dyscyplin i hojnie im za to płacą. Dopóki nie odkryją curlingu, dopóty zawodnicy tej dyscypliny zadowalać się będą musieli skromnymi wypłatami w kanadyjskiej walucie. Oficjalnie profesjonalnych curlerów (tak nazywają się gracze w curling) nie ma, ale wielu dorabia do pensji.

Zamiast czyszczenia dywanu

Oczywiście istnieje też kobiecy Wielki Szlem w curlingu. Już od dawna panie, zwłaszcza nudzące się gospodynie domowe, chętnie uprawiały tę grę. Bieganie ze szczotkami po lodowisku wydawało im się atrakcyjniejsze niż czyszczenie dywanu w salonie. Co ciekawe, właśnie te panie – nie mogąc wpisać w rubrykach personalnych innego zawodu – deklarują się jako profesjonalne curlerki.

Podobnie jak centrum męskiego curlingu w Polsce jest Wałbrzych, tak najlepiej spisują się w tej grze zawodniczki ze stolicy. Warszawianki nie osiągnęły jednak jeszcze międzynarodowego poziomu kolegów z Dolnego Śląska.

Skoro panie skaczą na nartach i biją się w ringu po twarzach, dziwne by było, gdyby nie uprawiały curlingu. Mistrzostwa świata kobiet rozgrywane są od 1979 r., a pierwszy tytuł zdobyły Szwajcarki. Podczas igrzysk olimpijskich organizuje się turnieje dla pań, panów i drużyn mieszanych. Wszystko zgodnie z duchem nowoczesności.

Z czasem poszczególne kanały telewizyjne wyspecjalizowały się w pokazywaniu określonych dyscyplin sportu. U nas najjaskrawszym tego przykładem jest Polsat Sport, w którym zobaczymy wszystkie najciekawsze wydarzenia siatkarskie. Eurosport to dom kolarstwa, snookera i właśnie curlingu. Śledziłem oczywiście na tej antenie niedawne mistrzostwa Europy, choć – przyznaję – jeśli nie występowali Polacy, a więc nie miałem jakiejś dodatkowej motywacji, uciekałem czasem na inne kanały. Moim zdaniem curling, na pewno fascynujący dla grających, dla oglądających może być dość męczący. Mecze potrafią trwać grubo ponad 2 godz., narady w zespołach bywają długie, na pewno strawniejsze byłoby dla widzów pokazywanie tylko skrótów składających się z samych zagrań.

Na oglądaniu transmisji skorzystałem jednak, bo przy okazji dowiedziałem się wiele ciekawostek o curlingu, bliżej poznałem zasady i polskich graczy, którzy są w zagrywaniu czajników i szczotkowaniu całkiem nieźli.

Dłużej nie będę męczyć Czytelników curlingiem. Nie chcę stać się uciążliwy, jak były dla mnie niektóre spotkania oglądane w Eurosporcie.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 3.12.2025 r.

eprasa.pl 8f853d41ab

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Europoseł Tobiasz Bocheński poprawił fartuszek, a potem, prawie biegnąc wyćwiczonym kelnerskim krokiem, zaniósł prezesowi Jarosławowi Kaczyńskiemu tacę ze śniadaniem.

– Jajeczniczka średnio ścięta na masełku – polecił tonem zmysłowym a uniżonym. – Polskim.

Prezes bez słowa zaczął jeść, popijając sokiem pomarańczowym. Gdy opróżnił szklankę, spojrzał na nią wymownie.

– Świeżo wyciskany soczek z pomarańczek. – Bocheński pośpieszył z dzbankiem. – Pols… – ugryzł się w język.

Kawa też nie była polska, podobnie jak dodatki: kardamon i cukier trzcinowy. Kaczyński wypił jej dwie filiżanki. Bez słowa.

Odezwał się dopiero po pięciu minutach:

– Mateusz dzwonił?

Europoseł Patryk Jaki, który czuwał przy telefonie, odpowiedział błyskawicznie:

– Nie.

A potem się skrzywił. Podobny niesmak okazali pozostali maślarze obecni w gabinecie prezesa: wspomniany już Bocheński oraz posłowie Jacek Sasin i Przemysław Czarnek.

– Macie miny, jakbyście cierpieli na niestrawność – zauważył ze śmiechem Kaczyński i natychmiast zmienił temat: – Macie jakieś ciasto?

– Oczywiście. – Bocheński się skłonił. – Makowczyk z polskiego maczku i serniczek z polskiego twarożku z polskiego mleczka.

– Wolałbym tartę. Z ananasem, kiwi i mango.

Musiały minąć trzy minuty, żeby życzeniu prezesa stało się zadość. Tyle trwał bieg Jakiego do najbliższej cukierni i z powrotem. Sasin i Czarnek nie mogli pobiec, bo by dostali zadyszki: jeden był za stary, a drugi za gruby.

Kaczyński zjadł tartę, oblizał usta i manifestacyjnie zaczął się wpatrywać w wyświetlacz przedpotopowej komórki. Minutę, dwie, trzy… Po dziesięciu wreszcie odezwał się dzwonek. Jaki gorliwie nacisnął klawisz z zieloną słuchawką i podał prezesowi aparat.

Maślarze nawet się nie kryli z nadstawianiem uszu.

– Dzień dobry, kochany – równie ostentacyjnie rzekł Kaczyński. – Dlaczego dzwonisz tak późno?

W słuchawce zachrobotał głos Morawieckiego. Maślarzy aż skręcało z ciekawości.

– Coś takiego! – ucieszył się prezes. – A co u nich? U Michałka, Waldka, Piotrka i Januszka? Zdrowi? Szczęśliwi? Bogaci?

Chrup, chrup, skrzyp, skrzyp, trzask, trzask.

– Chociaż do polityki nie idzie się dla pieniędzy, pamiętacie? – zapytał prezes.

Chrup, skrzyp, trzask.

– Żartowałem – zaśmiał się Kaczyński. – No to wpadajcie kiedy chcecie. Siedzę w biurze. Tak, można powiedzieć, że sam. Całkiem sam.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA zapada coraz głębiej w sen zimowy. **JOANNA SENYSZYN** jest pełna energii i właśnie wyrusza do Brukseli.

Senyszyn: – Nie rozmawiamy więcej o nowym marszałku.…

Wołk-Łaniewska: – A dlaczego? To taki wdzięczny temat.

– Bo jak ja o nim mówię, to mu rośnie.

– Co mu rośnie?

– Zasięgi. A poza tym nie jest wart, żeby o nim mówić.

– Ja sobie myślę, że mu raz urosło, skokowo, bo zakazał gorzały w sejmie. Co lud ucieszyło, bo lud posłów generalnie nie lubi i chce, żeby mieli gorzej.

– On zakazał sprzedaży. Co raczej nie rozwiązuje problemu tych posłów, którzy alkohol wnoszą na salę sejmową w sobie…

– Znowu się ministra Szejny czepiasz?

– Ministrem to on nigdy nie był i nie będzie. A znowu mnie wciągasz w dyskusję o niechcianym. Powiem więc jeszcze tylko, że w poprzedniej kadencji, jak zapraszał klub do swojego wicemarszałkowskiego gabinetu, to częstował wódą i whisky. Ciekawe, czy teraz, jak awansował, też będzie robił picie w sejmie. I to już jest koniec – jak zaśpiewała prezydentowa Dudowa. Zmień temat!

– Wójt Przechlewa może być?

– Co wójt przechlewa?

– No właśnie chyba przechlał stanowisko. Co jest absolutnie fascynującym przejawem tego, co łacina nazywa „nomen omen”. Ponoć zresztą trzeci raz wójt wpadł z gorzałą: drugi raz za kierownicą, a raz w pracy. Jemu by się taka czarzasta prohibicja przydała…

– Dość o niechcianym!

– No dobra, to o innym samorządowcu. Choć od Czarzastego…

– Uduszę cię!

– Chciałam porozmawiać o pani Beacie Moskal-Słaniewskiej, prezydencicy Świdnicy z Nowej Lewicy…

– Nawet nie czujesz, jak rymujesz. Mów prozą.

– Właśnie czuję. I uważam, że to brzmi pięknie. Otóż prezydencica powiedziała redaktorowi Żakowskiemu, że będzie robić transkrypcję małżeństw jednopłciowych, tak jak Strasburg nakazał. I zrobiła się zadyma jak stąd do Ziemi Świętej, zwłaszcza, że ona ma lokalną koalicję z PiS, które rozpętało straszny kałszkwał z tego powodu.

– Co rozpętało, przepraszam?

– Kałszkwał. To alternatywne określenie gównoburzy, które ostatnio usłyszałam od jakiegoś językoznawcy. Zachwyciło mnie swoją poetycznością.

– Mnie się kojarzy nie poetycznie, tylko niestety wulgarnie. Konkretnie z fikcyjnym Gruzinem Kałmanawardze, bo za moich młodych lat, obok gry półsłówek, tak się zestawiało polskie wyrazy, żeby udawały nazwiska typowe dla różnych nacji. Anglik to był lord Kundelbury, Japończyk Jebiesuki Nabosaka, Rumun Pałką Pokutascu… Więcej nie pamiętam i może dobrze, bo teraz poprawność polityczna nie toleruje ani wulgaryzmów, ani wyśmiewania innych narodów.

– Ja w ogóle takich konceptów nie pamiętam, może dlatego, że wyrastałam w epoce gierkowskiej otwartości na świat i myśmy się z cudzoziemców nie śmiali. Śmialiśmy się za to z radzieckich uczonych. Na przykład okulary wynalazł akademik Gównowidzew z Gruzińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Był też profesor Schodow. Dzięki jego pracom powstała klatka schodowa…



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Ty sobie żartujesz, a w początkach transformacji nawiedzonym radnym w kilku miastach nie podobały się ulice: Dworcowa, Czereśniowa, Wiśniowa… Nawet Czerwone Wierchy niektórym przeszkadzały.

– Tu się wiele nie zmieniło. Ostatnio ktoś mnie rozczulił na Facebooku, bo napisał: „Jak długo jeszcze będziemy pozwalać na to, żeby w każdym polskim domu było uwiecznione nazwisko ruskiego wynalazcy?!?”. I banda oszalałych rusofobów rzuciła mu się sekundować, że owszem, trzeba z tym zrobić porządek. Absolutnie genialny trolling.

– Były też prześmiewcze sondaże, w których Polaków pytano, czy są „za legalizacją związków heteroseksualnych”. Większość była przeciw. Wracając do związków: prezydencica Moskal-Słaniewska może mieć najlepsze intencje, ale musi jeszcze pokonać system PESEL, który po wpisaniu dwóch kobiet albo dwóch mężczyzn w akcie małżeństwa uznaje to za błąd i nie pozwala na zarejestrowanie wpisu.

– Ale wicepremier Gawkowski jej obiecał osobiście, że zaraz usunie blokadę w systemie i będzie można zrobić transkrypcję…

– Szkoda, że do tej pory nie usunął. Przecież rząd wiedział o tym wyroku i mógł przygotować system. Nie łudź się, że ta zwłoka jest niezamierzona. Wszak minister Kierwiński ogłosił – za swoim pryncypałem, premierem Tuskiem – że „Unia nie może nam narzucić swojego prawodawstwa”.

– Zawsze mnie rozczulają te chłopaki z tzw. postępowej prawicy – to generalnie oksymoron jest – co chciałyby i przyjemność mieć, i cnotę zachować. I uchodzić za Europejczyków, i nie podpaść bigotom, którzy i tak przecież na nich nie zagłosują.

– Ale – jak wiemy – nadzieja umiera ostatnia.

– To na koniec coś naprawdę ważnego. Znalazłam receptę na deficyt w służbie zdrowia. Własnoręcznie.

– Ależ proszę, podziel się.

– No więc resort zdrowia pod kierownictwem niewiasty, której nazwiska nikt nie pamięta, ale która ma wielkie doświadczenie w „restrukturyzacji”, obiecał min. Domańskiemu zaoszczędzić 10 dużych baniek, zmniejszając dziurę w NFZ z 23 do 13 mld zł.

– Tak, i w ramach tych oszczędności wprowadzi limity na tomografię i rezonans, na które już teraz czeka się miesiącami, na kolejne wizyty u specjalistów, na operacje zaćmy, polikwiduje część darmowych leków dla seniorów i dzieci…

– Powiem ci szczerze, że najbardziej mnie oburzyło ograniczenie operacji zaćmy. 94 tys. mniej zabiegów w 2026. Bo po co starcy mają widzieć? To szczególnie obrzydliwy przejaw ageizmu.

– Właśnie mają nie widzieć. Żeby nie zobaczyli, że waloryzacja emerytur coraz mniejsza, a choć inflacja spada, to wysokie ceny zostaną już z nami na zawsze. Ale powiedz, co wymyśliłaś dla naprawy tej sytuacji.

– Grenda – tak się ta ministrzyca nazywa, przynajmniej częściowo – obiecała Domańskiemu obciąć pacjentom 10,3 mld zł. Toż to dokładnie tyle, ile Władzio chce wydać na łodzie podwodne. Z których pierwsza ma przypłynąć do nas w roku 2030, czyli dwa lata po tym, jak – według rozlicznych specjalistów nieodmiennie związanych z wojskiem i kompleksem zbrojeniowym – Ruscy nas napadną. To naprawdę nie warto planować na ten czas. Bo albo wszyscy wyparujemy – albo proroctwa się nie spełnią, wojna na Ukrainie się skończy i ten szaleńczy wyścig zbrojeń, który teraz nakręcamy, objawi swoje w pełni idiotyczne oblicze. Osobiście obstawiam bramkę numer dwa, ale tak czy inaczej – nawet jeśli czeka nas tylko parę lat istnienia na tej ziemi – to tym bardziej powinniśmy je przeżyć jak najlepiej. Tak, żeby starzy ludzie mogli czytać książki, a chorzy nie umierali w męczarniach na nowotwory, które wcześnie wykryte, są w pełni uleczalne.

– Ale wicepremierowi Kosiniakowi będzie przykro, jak mu zabierzesz łodzie podwodne, tak się z nich cieszy.

– Kupi mu się szykowną kaczkę do wanny. Widziałam w Londynie całe sklepy tylko z takimi kaczkami. Kaczka Elżbieta II, kaczka Trump, kaczka Batman, kaczka Tower Bridge, kaczka marynarz…

– Marynarz może go pocieszyć.

– Coś ty, jemu kupimy kaczkę admirała.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 8f853d41ab